



Agatha Furbringer



Kręte ścieżki

Wyspy szczęścia (tom 63)

Tytuł oryginału angielskiego: *The Tortuous Paths*

Rozdział pierwszy

W poczekalni lotniska wszyscy mi się przyglądali. Widocznie kelner to rozgłosił. On także mnie obserwował. Mimo że stałam odwrócona nieco plecami do baru, czułam, że przygląda mi się uważnie.

- Nazywam się Tina Romberg - powiedziałam, kiedy energicznym ruchem otworzył mi butelkę oranżady. - Miałam być odebrana z lotniska, ale odkąd samolot wylądował, minęło pół godziny, i nikt się nie zjawił. Może zostawiono dla mnie wiadomość?

Nie, signorina. Obawiam się, że nie było tutaj nikogo, kto by pytał o panią.

- Nalewając oranżadę do szklanki, dalej zerkał na mnie ukradkiem brązowymi oczyma. - Pytała już pani w informacji?

- Byłam wszędzie i rozglądałam się na wszystkie strony.

- Jest pani cudzoziemką, signorina?

- Tak - odparłam. - Pierwszy raz jestem we Włoszech.

- Nigdy jeszcze nie była pani we Włoszech! - zawołał podniesionym głosem, a jego szeroko otwarte oczy wyrażały zaskoczenie. - Pierwszy raz tutaj! Cudzoziemka, sama i bez przyjaciół! Okropnie musi się pani czuć.

Ludzie w poczekalni zaczęli zwracać na nas uwagę, zdałam sobie sprawę, jak płomienny rumieniec zalewa moje policzki. Mimo swoich dwudziestu dwóch lat rumieniłam się.

- Coś się musiało stać, że ten pan każe na siebie czekać. Bez ważnych powodów żaden mężczyzna nie skazywałby tak młodej i tak pięknej damy na tego rodzaju sytuację, że sama i bezradna ląduje w obcym kraju.

To mówiąc zwrócił się już do wszystkich obecnych, którzy słuchali go ze skupioną uwagą. Dotknęłam swych rozpalonych policzków i spieszenie zaczęłam szukać pieniędzy w torebce, żeby zapłacić za napój. Kiedy położył swoją dłoń na mojej ręce, cofnęłam się gwałtownie jak wystraszony kot.

Proszę się uważać za zaproszoną, signorina. Musi pani zachować spokój. My, Włosi, jesteśmy pani przyjaciółmi. Wszyscy chcemy pani pomóc.

Słuchacze wydali żywy pomruk akceptacji. Wzięłam szklankę z oranżadą, zatrzasnęłam torebkę i cofnęłam się kilka kroków.

- Naprawdę jest pan bard/o uprzejmy, ale nie ma powodu do zdenerwowania. Najwidoczniej coś zatrzymało człowieka, który miał mnie odebrać z lotniska. Jestem przekonana, że wkrótce ktoś się zjawi.

Przez głośnik wywołano następny lol, i ku niej wielkiej uldze poczekalnia nagle się opió/nikt. /ostałam sama, naturalnie nie licząc kelnera.

- Zamierza pani spędzić urlop w tych stronach? - Wyszedł zza baru i zbliżał się do innej (wówczas to tutaj najlepszy miesiąc).

- Mam objąć nową posadę i/eklm. Jestem sekretarką.

- Sekretarką? Tutaj?

- Będę pracować dla Stevcna Denisowi, tego pisarza.

Jego twarz nie wyrażała najmniejszego zrozumienia. Nigdy dotąd nie słyszał o pisarzu, który był w Anglii dosyć znany.

- I ten signore Denison miał panią odebrać z lotniska?

- Tego właśnie nie wiem. - Zawahałam się, ale ponieważ wyglądało na to, że nie popuści, póki nie pozna dokładnie całej sprawy, ciągnęłam dalej: - Nie znam jeszcze pana Denisona. Jego żona po rozmowie ze mną w Londynie powierzyła mi to stanowisko i obiecała, że zostanę odebrana z lotniska.

Kelner z zamyśloną miną przysiadł się do mojego stolika.

- Czy ci ludzie mieszkają tutaj, we Florencji? Może by do nich zadzwonić?

Nic, mieszkają w willi w maleńkiej wiosce nad morzem. Nie sądzę, żeby mieli telefon.

Otworzył usta, żeby coś odpowiedzieć, lecz w tym momencie rozwarły się drzwi i do pomieszczenia wlał się strumień ludzi. Przyglądałam się uważnie każdemu z osobna. Może znajduje się wśród nich człowiek przysłany przez pana Denisona. Okazało się jednak, że to grupa wycieczkowa, która przyjechała z miasta autobusem i czeka na odlot samolotu.

I dopiero wtedy uświadomiłam sobie, że każdy - każdy w tej poczekalni mnie obserwuje. Prawdopodobnie kelner zadbał o to, żeby moje kłopoty nabrały rozgłosu. Od wylądowania mego samolotu minęła już przeszło godzina.

W ciągu ostatnich trzydziestu minut zegar nad wejściem chyba się powiększył. Usilnie starałam się na niego nie patrzeć. Stał się już jednak wielki jak ściana, a wskazówki obracały się w bezlitosnym tempie. Byłam już na lotnisku od dziewięćdziesięciu minut.

Nikt po mnie nie przyjedzie. Uzmysłowiłam to sobie nagle z nieomylną pewnością. Prawdopodobnie stało się to dla mnie jasne w ciągu ostatniej półgodziny, lecz broniłam się przed spojrzeniem prawdzie w oczy. Nie miałam pojęcia, jak daleko od lotniska znajduje się willa Denisonów. Pieniądzy zresztą też miałam bardzo mało.

Powoli podniosłam się, wzięłam ze stołu pustą szklanekę i swoją torebkę. W krzyżowym ogniu piętnastu par oczu wróciłam do baru.

- Jest już po czwartej, wydaje mi się, że nie ma sensu dłużej czekać. Czy zechciałby pan mi wyjaśnić, jak się dostanę stąd do Bartessy?

- Bartessa, signorina? A gdzie to ma leżeć?

- To wioska gdzieś nad morzem.

- Obawiam się, signorina, że nie potrafię pani powiedzieć, jak dostać się do Bartessy. Nigdy nie słyszałem tej nazwy. Nikt nie zna tej miejscowości. W ogóle jej nie ma.

- Oczywiście, że jest! Pod wpływem strachu mój głos zabrzmiał ostrzej, dłonie zaczęły mi się pocić.

- Ale nie we Włoszech oświadczył z uporem.

- Nie wierzę. Z przerażeniem stwierdziłam, że ogarniają mnie pierwsze wątpliwości. Przecież pani Denison przysłała mi bilet. I ten list.

Trzęsącymi się rękami wyciągnęłam list z torebki. Kelner wziął go ode mnie i musnął okiem na treść, zaczął czytać. Czytał na głos, żeby niczego nie stracili słuchacze za moimi plecami.

Ponownie spojrzałam w lustro, z którego patrzyła na mnie blada twarz dziewczyny u niebieskiej sukience. Twarz była mocno spiczasta i wykrzywiona, oczy zbyt szare i szeroko rozwarte, tylko kasztanowe włosy wydały mi się znajome. Tą obcą osobą byłam ja sama. Ja sama, otoczona przez śniadych cudzoziemców, którzy nagle zrobili na mnie wrażenie stworzeń z innej planety.

Dokładnie w chwili, gdy wzniosłam do nieba akt strzelisty. Boże, proszę, przyślij mi kogoś na pomoc, drzwi poczekalni otworzyły się i do środka wszedł Barry Knight. Był wysoki, barczysty, miał jasne włosy i niebieskie oczy. Prawdopodobnie uchodził za brzydala, lecz takiego, który wzbudza swoistą sympatię. Był jeszcze młody i swoim zachowaniem sprawiał wrażenie człowieka, który przywykł wydawać rozkazy. Niewątpliwie miało się do czynienia z Anglikiem czystej wody.

Natychmiast zorientował się w sytuacji, a tłumek rozstał się z respektem, kiedy Barry zaczął sobie torować drogę do mnie. Kelner odłożył list i czekał. Wszyscyśmy czekali.

- Panna Romberg? - spytał pogodnie ten posłaniec z nieba. - Mam nadzieję, że nie martwiła się pani zbyt. Nie mogłem przyjechać wcześniej.

- Nie skłamałam. - Od razu pomyślałam sobie, że coś musiało pana zatrzymać.

Poczułam, jak Anglik chwyta moją dłoń i mocno nią potrząsa, a jego oczy przyglądają mi się ciepło i z uznaniem.

- Jestem Barry Knight. Kuzyn Cathy Denison, daleki kuzyn z linii angielskiej. Prosiła mnie, bym odebrał panią z lotniska. Musimy się pośpieszyć, bo inaczej spóźnimy się na pociąg.

- Jeśli o mnie chodzi, to jestem gotowa - powiedziałam - i to od paru godzin.

Nagle zirytowały mnie jego przeprosiny. Prawdopodobnie nie przyszło mu nawet do głowy, co przeżyłam w ciągu ostatnich godzin. Wszyscy ci inni ludzie byli dla mnie mili i troszczyli się o mnie. Dla niego zaś mój strach zupełnie się nie liczył. Zimny jak lód Anglik! pomyślałam ze złością.

- Zabiera pan signorine do Bartessy? - spytał kelner patrząc, jak barczysty mężczyzna podnosi ciężkie walizki niczym piórko.

- Do Barlessy - potwierdził Barry Knight. - To spory kawałek stąd.

Kelner przyglądał mu się z bezbrzeżnym niedowierzaniem.

- Nigdy dotąd nie słyszałem o żadnej Bartessie.

- Bardzo możliwe. Należy do tych miejscowości, o których nikt dotąd nie słyszał. I właśnie dlatego podoba się moim przyjaciołom. Ale zapewniam pana, że Bartessa w każdym razie istnieje.

- Naprawdę? - Kelner w dalszym ciągu nie był przekonany.

Podziękowałam wszystkim i ruszyłam spieszenie za Anglikiem. Ludzie stali marszcząc czoła i nie odzywali się. Kiedy zniknęłam w otwartych drzwiach, podniósł się głośny gwar głosów. Domyślałam się, że przysięgają sobie teraz nawzajem, że nigdy nie słyszeli o miejscowości o nazwie Bartessa, a nawet że ona w ogóle nie istnieje.

Prawdopodobnie przypuszczali, iż czeka mnie straszliwy los. Potworny los, który musi się skończyć koszmarnym snem i śmiercią. Śmiejąc się w duchu z własnej tak wybujałej fantazji, nie domyślałam się, że tego rodzaju przepowiednia może być uzasadniona. Żadne przeczucie nie ostrzegło mnie przed zbliżającą się zgrozą. I nie mogłam wiedzieć, że na końcu tej drogi będzie stać śmierć.

Śmierdzącym pociągiem jechaliśmy do owej mitycznej Bartessy.

- Strasznie mi przykro, że się spóźniłem usłyszałam tuż przy swoim uchu.

- Miałem wziąć wóz Stevena, ale potem nic z tego nie wyszło, bo on sam chciał gdzieś pojechać, a ja nie mogłem mu wyjaśnić, dlaczego potrzebuję auta, nie zdradzając przy tym tajemnicy. Zapali pani?

- Nie, dziękuję - odparłam oszołomiona. - Nie palę. - Nagle wyprostowałam się jak świeca. - Co miał pan na myśli, mówiąc, że nie chciał pan zdradzić tajemnicy?

- Chodziło o pani przyjazd. Wszystko to pomyślane było jako niespodzianka dla Stevena. Cathy to cudowna dziewczyna. Wielkoduszna, szczodra i życzliwa. To pani miała być prezentem dla jej męża.

Przełknęłam kurczowo ślinę, i na dobrą chwilę mnie zatkało. Kiedy wreszcie odezwałam się, uczyniłam to z największą ostrożnością.

Czy powinnam to rozumieć w tym sensie, że Steven Denison nie ma pojęcia o moim przyjeździe? Nie wie, że jego żona zatrudniła mnie jako jego sekretarkę?

Dokładnie tak! Trafiła pani w samo sedno. - Pod jego rezolucją kryło się sporo braku pewności siebie. W dalszym ciągu wpatrywałam się w niego przerażonym wzrokiem, gdy po chwili dodał: - Od razu mówiłem Cathy, że to cholernie głupi pomysł. Na miłość boską powiedz mu, ostrzegałem ją. Może się przecież zdarzyć, że wyrzuci dziewczynę i nie będzie chciał mieć z nią nic do czynienia. Musi pani wiedzieć, że Steven Denison jest naturą zupełnie nieobliczalną.

A co ona na to powiedziała? - Mówiłam bardzo spokojnie. Nie krzyczałam, choć zdawałam sobie sprawę, że nie trzeba wiele, abym to zrobiła.

- Powiedziała, że jeśli go wcześniej wtajemniczy, Steven nie zechce nawet przywitać się z panią. Zawsze przysięgał, że nie potrzebuje sekretarki. Że nic i nikt nie może go skłonić do zatrudnienia takiej osoby. Ale pracuje zbyt wiele i musi mieć kogoś, kto by mu pomagał. Jestem przekonany, że zmieni swoje nastawienie, gdy panią zobaczy. Jest pani młoda, ładna i... - głos zamarł mu w pół słowa, kiedy zobaczył wyraz moich oczu. Spojrzał w bok, po czym ponownie z nieśmiałym uśmiechem w moją twarz. - Wie pani, gotów byłem przysiąc, że ma pani szare oczy. - Zawahał się, a uśmiech zastygł na jego ustach. - Ale one wcale nie są szare, tylko zielone.

- Moje oczy zmieniają barwę... w zależności od tego, w jakim jestem akuracie nastroju - powiedziałam cicho. Normalnie są rzeczywiście szare. - Nagle podniosłam głos i krzyknęłam na niego - Ale gdy jestem zdenerwowana albo wściekła na kogoś...

- To wtedy są zielone - uzupełnił spiesznie. Skrępowany rozejrzał się dokoła, gdyż tymczasem staliśmy się przedmiotem ogólnego

zainteresowania. - Później o tym porozmawiamy - szepnął. - Nie ma sensu urządzić tutaj scen.

- Urządzą sceny, kiedy i gdzie mi pasuje! - Nie starałam się nawet ściszyć głosu i stwierdziłam z zadowoleniem, że nie ja jedna ma skłonność do rumienienia się. Barry Knight poczerwieniał na twarzy jak burak i wsadziwszy palec pod kołnierzyk, przejechał po szyi, jakby obawiał się uduszenia. - Co za obłąd! - wołałam oburzona. - To wprost nie do wiary! Zrezygnowałam z bardzo dobrej posady i odbyłam daleką podróż do Włoch. A pan ośmiela się mi teraz mówić, że pan Denison prawdopodobnie nawet mi nie poda ręki. Pani Denison powinna była bezwarunkowo powiadomić mnie o stanie rzeczy. Skoro już mam być niespodzianką dla jej męża, to przynajmniej mnie powinna wtajemniczyć!

Już nie pamiętam, co jeszcze wtedy mówiłam. Pamiętam tylko, że mówiłam bardzo długo i dużo. Głośno i wyraźnie. Nie wiem, czy współpasażerowie mnie rozumieli, w każdym razie urozmaicenie monotonnej podróży zdawało się sprawiać im frajdę. Wszyscy, z wyjątkiem Barry'ego, bawili się doskonale.

Do stacji, gdzie wysiadaliśmy, nie zamieniliśmy już słowa.

- Pociągami nie dojedziemy bliżej - oświadczył Barry chwytając za moje walizki. - Obawiam się, że reszta podróży nie będzie tak przyjemna. Na siodełku skutera... - zrobił przerwę, po czym dzielnie dokończył: - Obawiam się, że mogę służyć tylko swoim skuterem.

Wiedziałam, że liczy się z tym, iż znów go ofuknę. Cofnął się nawet parę kroków, sądząc, że mogę nie poprzestać na napaści słownej i przejść do rękoczynów. Mój gniew zdążył się już jednak wyczerpać. Czułam się zmęczona, zdenerwowana i bynajmniej nie byłam w nastroju do trzęsienia się na siodełku skutera. Mimo to nie wniosłam sprzeciwu, tylko zapytałam o los swoich walizek.

Będziemy przejeżdżać obok naszego garażu w wiosce, jego właściciel może potem odebrać je z dworca. Z samej Bartessy musi już przewieźć bagaż do willi na osle. Nie mamy drogi z prawdziwego zdarzenia, tylko ścieżkę.

Przyjęłam tę informację bez słowa, po czym usiadłam z oporami na siodełku skutera. Dolna część mojej niebieskiej płóciennej sukienki była bardzo wąska i natychmiast podjechała w górę powyżej kolana. Bardzo dobrze znane uczucie uświadomiło mi, że po mojej lewej nodze toruje sobie

drogę oczko w rajstopach. Barry zajął miejsce przecie mną. Wyglądał wręcz absurdalnie na tym niskim pojeździe.

Proszę się mocno trzymać - krzyknął buńczucznie.

W następnej chwili ruszyliśmy w drogę. Jak przez mgłę chwytałam wrażenie soczystych łąk, srebrzyście zielonych i turkusowych w wydłużających się wieczornych cieniach. Słońce nie całkiem jeszcze zaszło, i widziałam mnóstwo dziko rosnących kwiatów.

Po mniej więcej trzydziestu minutach zwolniliśmy, by wejść w zakręt, i moim' oczom ukazał się widok jednej z owych średniowiecznych wsi z różowego kamienia, które już podczas jazdy kolejną zrobiły na mnie tak wielkie wrażenie. Skuter zatrzymał się nagle przed rozwalającym się budynkiem.

- Willa jest tam w górze - rzekł Barry, pokazując jednocześnie brodą w kierunku gór, gdzie domy wisiały nad przepaścią na dosyć groźnej wysokości. - Położona jest w pobliżu szczytu, dokładnie tuż pod zamkiem. Niech pani wejdzie ze mną i pozna Guglielma. Prowadzi swego rodzaju warsztat samochodowy, w którym także Steven zostawia swoje auto.

W czasie gdy Barry i Guglielmo rozmawiali po angielsku, ja usiłowałam zastosować swoją znajomość włoskiego u pani domu. Ale ani ona mnie nie rozumiała, ani ja jej, i zdałam sobie sprawę, że język, którego się uczyłam, w żadnym wypadku nie mógł być włoski. Trochę speszona zadawałam sobie pytanie, jak mogło dojść do takiej pomyłki. (Później dowiedziałam się, że we Włoszech jest tyle różnych dialektów, że nawet jedni Włosi nie rozumieją drugich.)

Kiedy znaleźliśmy się z powrotem na zewnątrz, Barry spojrział na mnie ze swych imponujących wyżyn.

- Można się poczuć trochę nieswojo wjeżdżając skuterem na górę. Z drugiej strony jak na wędrowkę pieszo jest dosyć daleko.

Czekał w napięciu na moją odpowiedź.

- Wolę iść na piechotę - rzekłam zdecydowanym tonem.

Bez wysiłku wspinaliśmy się pod górę, od czasu do czasu zatrzymywaliśmy na krótki odpoczynek spoglądając na domy rozsiane po stoku. T nawet teraz, kiedy słońce zaszło już niemal za horyzontem, oślepiały mnie jaskrawe barwy kwiatów, które nas otaczały. Kwitły w doniczkach osadzonych w pierścieniach, które wpuszczono w mury, wisiały na płotach i zdobiły wejścia domów. Dokoła, gdziekolwiek rzucić okiem,

kaskady wspaniałych subtropikalnych kwiatów. A daleko w dole szeptało połyskujące morze.

- W najbliższych godzinach Guglielmo przywiezie pani walizki - poinformował mnie Barry.

- Bardzo to uprzejme z jego strony. Wydaje się całkiem miły.

- Guglielmo? Miły? Ten facet to autentyczny rabuś. Nie, żebym mu robił wyrzuty, bo ma do nakarmienia całą gromadę głodomorów.

- A kogóż to obrabowuje?

- Każdego głupca, który mu na to pozwala. Na przykład męża Cathy. Steven nie ma pojęcia o wewnętrznym życiu auta, nie jest technicznie tak uzdolniony jak ja. A więc Guglielmo naciąga go na każdym kroku.

- Myślałam, że mówił pan o rzeczywistym rabusiu.

- Prawdopodobnie też nim jest. O wszystko bym go posądzał. - Barry podniósł się. - Odpoczęła pani trochę? Już niedaleko.

Byliśmy prawie na miejscu. Musiałam się pośpieszyć i przeprosić wreszcie, co nigdy nie przychodziło mi łatwo, za swój wybuch gniewu. W końcu jakoś to wypowiedziałam. Barry odwrócił się, uchwycił moją dłoń i uścisnął ją mocno.

- Miała pani wszelkie prawo stracić panowanie nad sobą. Niczego innego nie oczekiwałem.

- To przecież nie pana wina, tylko wyłącznie pani Denison.

Barry zatrzymał się niespodziewanie.

- W takim razie cieszę się podwójnie, że zbeształa pani mnie, a nie Cathy - rzekł z powagą. - Nie można jej raczej nazwać osobą szczęśliwą. Ma mnóstwo zmartwień, a poza tym... - urwał, lecz po chwili ciągnął dalej Mam nadzieję, Tino, że nie będzie pani złościć się na nią. Jest mnóstwo rzeczy, których pani nie rozumie. Nie chciałbym, żeby ją pani rozdrażniła.

Ruszył dalej. Wpatrywałam się w gęstniejący cień kroczącej przede mną postaci, której nagle zdawało się bardzo śpieszyć. Czyżby kochał Cathy Denison? Jakiś czas temu czytałam w gazecie, że Denisonowie się rozeszli, kiedy jednak poznałam Cathy Denison, wywnioskowałam, że wiadomość ta opierała się na nieprawdzie. Wtem ogarnął mnie dziwny niepokój, a gdy słońce zniknęło za górami, wzdrygnęłam się.

Przed ostatnim odcinkiem drogi zrobiliśmy jeszcze krótki odpoczynek. Znajdowaliśmy się akurat obok rachitycznego domku. Na tarasie siedziała kobieta, a gdzieś płakało dziecko.

- Mieszka tu pewien Niemiec - rzekł Barry - Nikolaus Herder, malarz. Straszny niechluj. Ma żonę Włoszkę i dziecko. Przed wieloma laty znał Cathy, jakiś czas temu przyjechał tu z Neapolu do niej w odwiedziny. Spodobało mu się i osiedlił się w naszym sąsiedztwie.

- Nie lubi go pan.

- Nie uznaję ludzi, którzy się nie myją. Także jego obrazy są do niczego. Muszę mu jednak oddać sprawiedliwość przed laty stworzył prawdziwe arcydzieło. Namalował Cathy, a obraz zatytułował „Portret dziewczyny”. Wisi teraz nad biurkiem Stevena. Obraz od lat jest w jego posiadaniu i, nawiasem mówiąc, był inspiracją do jego pierwszej powieści. Właściwie to dziwne! Nie znał jeszcze wtedy Cathy, tylko jej portret.

- Książka miała tytuł Nieznajoma - wtrąciłam cicho. - Czytałam o tej historii w gazecie. Często musiałam myśleć o tym, że później poznał modelkę i się z nią ożenił. Uważałam, że to naprawdę... - szukałam właściwego słowa - naprawdę ładne.

Barry mruknął coś do siebie, i nie mogłam się oprzeć wrażeniu, że wyraziłam się bardzo głupio. W rzeczywistości chodziło mi o to, że uważałam miłość Stevena do obrazu, a później do samej dziewczyny za najpiękniejszą, najsubtelniejszą i najbardziej romantyczną historię miłosną wszystkich czasów.

Barry przyjrzał mi się uważnie w gęstniejącym mroku.

- Dlaczego właściwie przyjechała pani tutaj? - spytał nagle. - Dlaczego przyjmuje pani tę posiadłość?

- Żeby pracować w słonecznym klimacie - odparłam. - Poznać inny kraj, uciec od codziennej monotonii. Od dawna tego pragnęłam.

Mogłabym jeszcze podać cały szereg powodów. W domu wprawiłam się w tej wyliczance. Ostatecznie musiałam wyjaśnić rodzicom i rodzeństwu, dlaczego odpowiedziałam natychmiast na ogłoszenie w jednym z największych dzienników, pełna obaw, że może już być za późno.

Było wiele powodów, ale liczył się tylko jeden. I akurat jego nie mogłam wymienić. Prawdziwego powodu, dla którego opuściłam przytulny dom rodzicielski i rozstałam się z ukochaną rodziną. Ten jeden powód, którego następstwem było to, że wdrapywałam się teraz na jakąś górę gubiąc oczka w rajstopach, dotyczył wyłącznie mnie.

Przybyłam tu tylko po to, by pracować dla Stevena Denisona. Żeby móc to zrobić, z tym samym zapalem poleciałabym nawet na nieprzebytą pustynię. By pomagać mężczyźnie, którego książki doprowadzały mnie do śmiechu i

płaczu. Który pozwalał mi oglądać świat innymi oczami i wywarł na mnie większy wpływ niż jakikolwiek inny pisarz, niż jakikolwiek inny człowiek w moim życiu.

Czytałam wszystko, co o nim pisano. Było tego zresztą niemało. A gdy gazety doniosły o jego rozstaniu z żoną, byłam wstrząśnięta, jakby dotyczyło to wszystko mego własnego brata. Nawet więcej. Powieść Nieznajoma wzruszyła mnie do głębi, i na myśl o końcu takiej miłości wybuchałam płaczem.

Ale oni wcale nie żyli osobno. Byłam szczęśliwa uświadamiając sobie, że ich romans jeszcze trwa. Cathy mieszkała w willi na górze. Tak samo jak Steven. I wkrótce przed nim stanę. Wręczona mu przez jego żonę jako swego rodzaju niespodzianka.

- Przeczytałam wszystkie książki Stevena Denisona - powiedziałam w końcu. - Wszystkie mi się podobały, nawet te wcześniejsze, które nie były takie popularne.

- Mam nadzieję, że autor pani nie rozczaruje - mruknął znowu Barry. - Nie może pani oceniać mężczyzny na podstawie jego książek. Tak samo jak dziewczyny na podstawie portretu.

Coś w jego głosie sprawiło, że wstrzymałam oddech i obróciłam się spieszenie.

- Dlaczego go pan nienawidzi? Nienawidzi go pan, prawda?

Pytanie to było właściwie impertynencją, i kiedy Barry milczał, sądziłam, że zamierza je zignorować. Kiedy jednak przemówił, w głosie jego przebijała nieoczekiwana namiętność.

- Nie mogę lubić mężczyzny, który upokarza i unieszczęśliwia swoją żonę. W dodatku, kiedy sprowadza do domu swoją kochankę i jeszcze chełpi się tym przed wszystkimi. Mężczyzny, który ledwo zdobywa się na uprzejmość, że nie wspomnę o życzliwości.

Poczułam się, jakbym otrzymała cios w żołądek. Nie ochłonęłam jeszcze z bólu, gdy Barry ciągnął już dalej:

- Książki Denisona są oczywiście dobre. Są filmowane i tak dalej. Wielu uważa go za geniusza. - Wypowiedział to słowo bardzo niechętnie. - W każdym razie geniusz czy nie geniusz, nie widzę powodu, dla którego nie mógłby się zachowywać przyzwoicie i zgodnie z zasadami życia społecznego. - Skoczył na równe nogi i niemal gwałtownie pociągnął mnie do góry. - Nie mam prawa tak mówić. Proszę o tym zapomnieć. Ostatecznie jestem gościem w jego domu. Musimy się pośpieszyć, żeby dotrzeć do celu przed zapadnięciem ciemności. - W dalszym ciągu trzymał mnie za rękę.

Nagle pochylił się, by spojrzeć mi w twarz. - Żle się pani czuje, Tino? Dłonie ma pani lodowate i drży.

Przez chwilę nie mogłam wydobyć z siebie głosu. Rzeczywiście marzłam, mimo że powietrze było do tej pory łagodne i ciepłe.

Czuję się dobrze - odrzekłam w końcu. - Jestem tylko bardzo zmęczona.

Barry otoczył mnie ramieniem, a w jego głosie pobrzmiwała wielka opiekuńczość.

Zaraz będziemy na miejscu. Ma pani za sobą ciężki dzień, Tino. Uważam, że jest pani bardzo dzielną dziewczyną.

Ostatni odcinek drogi okazał się bardzo trudny do wspinaczki. Opuściły mnie siły, i czułam niemal fizycznie ból, który ścisnął moją duszę. Naturalnie nie wierzyłam nawet jednemu słowu Barry'ego. Po prostu nie mogła to być prawda. Steven Denison, którego od lat podziwiałam, i mężczyzna, którego przedstawił Barry, nie mogli być jedną i tą samą osobą.

Ta kobieta, o której pan wspomniał - wydusiłam w końcu co miał pan na myśli mówiąc, że mieszka w domu pana Denisona?

Miriam Osten. To aktorka, ale nie tak sławna jak Cathy. Miriam odpoczywa tu w górach od pracy i od swych kilku mężów. Właśnie puściła kolejnego w odstawkę. Prawdopodobnie można ją określić mianem piękności. Wydawał się zastanawiać nad tym, co powiedział. Tak, do licha, naprawdę jest piękna. Mimo że na ogół nie przepadam za kobietami, które zmieniają mężów jak rękawiczki.

Milczałam przez jakiś czas, lecz w końcu, mimo że jak nigdy nie byłam w nastroju do żartów, spróbowałam zbyć wszystko śmiechem.

- Podejrzewam, że większość ludzi tutaj nie podoba się panu. Przeszkadza panu człowiek, który się nie myje. Przeszkadza drugi, który źle traktuje swoją żonę. I piękna kobieta, która lubi zmieniać mężów. Zadaję sobie pytanie, dlaczego więc pan tutaj siedzi.

- Mam swoje powody. - W jego głosie brzmiała rezerwa. - Poza tym jest tutaj paru ludzi, których lubię. Należy do nich, na przykład, ciotka Polly. Wkrótce ją pani pozna. Kaśliwa stara panna, lecz jej szczekanie jest gorsze od kłosa. Poza tym sądzę, Tino, że pani jest osobą, która mi się bardzo spodoba. I wreszcie nie możemy naturalnie zapomnieć o Cathy.

- Nie, naturalnie, że nie możemy - powtórzyłam nieco oszołomiona. - Nie wolno nam zapomnieć o Cathy.

Tak samo jak poprzednio, gdy wspomniał o Cathy, i tym razem zatrzymał się niczym piorunem rażony. Powoli zwrócił ku mnie twarz, lecz było zbyt

ciemno, by dostrzec jej wyraz. Mimo to czułam, że coś go nurtuje, i domyślałam się już, że zamierza mi przekazać jakąś bulwersującą nowinę. Nie chciałam jej usłyszeć. Usłyszałam już i tak za wiele.

- Pośpieszmy się - poprosiłam. Zimno mi. Barry nawet nie drgnął.

- Muszę to pani powiedzieć, zanim wejdziemy do domu. Chodzi o Cathy. Musi pani o tym wiedzieć. To bardzo brzydka sprawa, ale uważam, że powinienem panią poinformować. - Zrobił przerwę. Czekałam, kiedy wreszcie zacznie mówić dalej. Otaczająca nas cisza była prawie nie do zniesienia. - Bez względu na to, jak skończy się cała ta historia, proszę mi obiecać, że będzie pani dla niej dobra. Właśnie teraz, znajduje się pod okropną psychiczną presją. To dziewczyna gnana ciągłym strachem.

- Strachem! - zawołałam. - Czy boi się... swojego męża?

- Jego. Wszystkich. Nawet mnie.

Pomimo otaczających nas ciemności usiłowałam odczytać wyraz jego twarzy.

- Kiedy poznałam ją w Londynie, wydawała mi się zupełnie normalna. - Nie odpowiedział, więc ciągnęłam dalej podenerwowana: - Co chce mi pan powiedzieć? Że żona Stevena Denisona jest psychicznie chora?

- Psychicznie chora to może nie - odparł spokojnie. - Mimo że to, co przeszła Cathy, wpędziłoby niejedną kobietę w obłąd.

- A co takiego ona przeżyła?

Barry zawahał się chwilę, lecz zaraz rzeczowo mówił dalej.

- W nocy przed naszym przylotem do Włoch ktoś usiłował ją zamordować. Niewiele zabrakło, by rzeczywiście mu się udało.

Gwałtownie wciągnęłam powietrze w płuca.

- Morderstwo?

Usłyszałam trzask otwieranej papierośnicy, a w chwilę później ujrzałam płomyk zapalniczki, który oświetlił na moment twarz Barry'ego. Jego niebieskie oczy spoczywały w cieniu spuszczonej powiek.

- Wszyscy mieszkaliśmy w hotelu niedaleko lotniska. Cathy miała pojedynczy pokój, jej pokojówka spała w sąsiednim. Gdyby nie dziewczyna, Cathy by już dzisiaj nie żyła.

- Co się stało? - Moje wargi poruszyły się wprawdzie, lecz nie sędzę, żeby słowa były słyszalne.

- W środku nocy Cathy obudziła się nagle - ktoś ją dusił. Jej szyję oplatał sznur, który zaciskał się coraz mocniej. Ktoś pochylał się nad łóżkiem, lecz przerażona w otaczającej ciemności dostrzegła tylko niewyraźne zarysy

postaci. Musi pani wiedzieć, że Cathy jest dosyć silna, i naturalnie broniła się jak szalona. Mimo to nie miałyby jednak szansy, gdyby przez nieostrożny ruch tego szubrawca nie przewróciła się lampka nocna. Ten odgłos zbudził Betty, która swoim krzykiem postawiła cały dom na nogi, ale łajdak zdołał zbiec. Cathy była nieprzytomna. Udało nam się nie dopuścić do tego, żeby historia przedostała się do gazet. Przesunęliśmy termin odlotu, bo policja wszczęła śledztwo, które nie przyniosło jednak żadnych rezultatów. Tymczasem Cathy odpoczywała w szpitalu. - Barry umilkł zmęczony, lecz po chwili ciągnął dalej mocniejszym głosem: - Klucze, które miała pokojówka, zniknęły. Wiedzieliśmy więc przynajmniej, w jaki sposób łajdak dostał się do środka.

- Ale kto...?

- Kto? W tym właśnie sęk! Kto byłby zdolny targnąć się na życie Cathy? Przyprawia ją to niemal o szaleństwo. Nie okazuje, co naprawdę czuje, bo jako aktorka przyzwyczajona jest do ukrywania swoich uczuć. Wie tylko, że ktoś jej nienawidzi. Że ktoś pragnie jej śmierci.

Kurczowo przełknęłam ślinę, a gdy zabrałam znowu głos, starałam się nadać mu równie spokojne brzmienie jak Barry.

- Powiedział pan, że w dalszym ciągu się boi. Nie przypuszcza chyba, że ten człowiek... - Wzdragalam się użyć słowa morderca. - Cathy nie przypuszcza chyba, że ten człowiek podążył tu za nią.

- Wmawia sobie, że on - a może nawet ona - już się tu znajduje. Jak pani mówiłem, biedactwo nie potrafi już zaufać nikomu.

- Nawet... nawet własnemu mężowi?

- Własnemu mężowi! - Głos Barry'ego ociekał wręcz odrazą. - Nie, własnemu mężowi także nie ufa.

Zachwiałam się lekko i poczułam, jak jego mocne palce zaciskają się na moim ramieniu.

- Właściwie nie zamierzałem pani tego wszystkiego opowiadać, kiedy jednak w pociągu zrobiła mi pani tę scenę, zadałem sobie pytanie, czy nie lepiej będzie poinformować pani o całej sprawie. Nie chciałem, żeby czyniła pani Cathy te same wyrzuty co mnie.

- Nie zrobię tego - szepnęłam głosem, który zaczął odmawiać mi posłuszeństwa. - Sądzę, że i tak bym tego nie zrobiła.

Wróciłam myślą do swego pierwszego spotkania z Cathy Denison w Londynie. Z miejsca ją polubiłam. Nie znałam dotąd bardziej czarującej osoby. Posiadała czar, który nie miał nic wspólnego z jej sławą, była po

prostu bardzo, bardzo piękna. Jej postać można by określić jako zgrabną i drobną, długie brązowe włosy błyszcząły w świetle lamp niczym płynne złoto. Usta były łagodne i o miękkim rysunku, głos głęboki i dźwięczny. Jej jasne, orzechowe oczy promieniały życzliwością i zrozumieniem.

Nie spędziłam jeszcze nawet pięciu minut w jej mieszkaniu, gdy ogarnęło mnie uczucie, że jestem właśnie u starej przyjaciółki. Obstawiała przy tym, żebym mówiła jej po imieniu. Wkrótce zapomniałam, że siedzę naprzeciwko Catherine Carsten, gwiazdy wielu głośnych przedstawień teatralnych. Nie pamiętałam już nawet, że jest żoną Stevena Denisona. Ani przez chwilę nie uświadamiałam sobie, że znajduję się w towarzystwie bardzo sławnej kobiety. Przeciwnie, to ona robiła wszystko, bym czuła się nadzwyczaj ważną osobistością. Kiedy opuszczałam jej uroczne mieszkanie, miałam wrażenie, że urosłam parę centymetrów, i patrzyłam na cały świat przez różowe okulary. Wydaje mi się, że dopiero dzięki niej poznałam prawdziwe znaczenie słowa czar.

To, że jest gdzieś ktoś, kto pragnie jej krzywdy - a nawet śmierci - nie mieściło mi się po prostu w głowie, wydawało się leżeć poza granicami rozumu.

Jak przez mgłę usłyszałam głos Barry'ego i prędko odwróciłam ku niemu głowę.

- Cathy była panią zachwyconą, Tino. Wiem, że żywi nadzieję, iż będzie pani dla niej czymś więcej niż sekretarką Stevena. Ma nadzieję, że zostanieie przyjaciółkami. A Bóg mi świadkiem, że nikt tak jak Cathy nie potrzebuje przyjaciółki. Kogoś, komu będzie mogła zaufać.

- Ma przecież pana - wtrąciłam.

- Już pani mówiłem. Nie ufa mi. Od czasu do czasu bariera między nami obniża się, ale potem pada jakieś słowo, i uświadamiam sobie, że podejrzenie ciąży na mnie tak samo jak na innych.

Wpatrywałam się w dużą, ciemną postać stojącą przede mną. Jeśli Cathy nie mogła zaufać temu człowiekowi, to rzeczywiście musiała być jeszcze pod wrażeniem przeżytego szoku. Barry Knight w żadnym wypadku nie był... Z drugiej strony, czyż mordercy różnią się wyglądem od normalnych ludzi? Czy noszą na czole jakiś znak, piętno? Czyż doświadczenie nie dowodzi, że przeciwnie, dopóki straszliwa prawda nie wychodziła na jaw, otrzymywali od swych bliźnich najlepsze świadectwo?

Zęby faktycznie zaczęły mi dzwonić i miałam tylko jedno pragnienie dotrzeć jak najszybciej do Willi. Nagle Barry chwycił mnie za ramię.

Wydałam okrzyk przerażenia. Natychmiast mnie puścił i roześmiał się nieco zażenowany.

- Przepraszam, Tino. Nie chciałem pani przestraszyć. Bez obaw. Nie jestem łajdakiem, który próbował zamordować Cathy.

Mój śmiech był nieco drżący i wymuszony. Byłam bardzo zmęczona i może nawet trochę rozhisteryzowana.

- Jestem o tym przekonana. Z pewnością nie należy pan do mężczyzn, którzy skradają się w ciemności i próbują mordować kobiety.

- Nie - odparł z całkowitą powagą. - Znów pani ma rację.

Rozdział drugi

Dotarliśmy do willi i zatrzymaliśmy się przed wejściem. Jasne lampy oświetlały taras i niezliczone kwiaty kwitnące na otaczającym go kamiennym murku.

Willa położona była nieco na uboczu trzech ulic i niskich domów, z których składała się Bartessa. Na grzbiecie wzniesienia górowały ponad wszystkim stary kościół i na wpół zawalony zamek, obydwa aktualnie niemal pogrążone w ciemności.

Po raz ostatni rzuciłam okiem na drogę, którą przyszliśmy, i wstrzymałam oddech z zachwytu. Zbocze połyskiwało mieniącymi się dziwnymi światełkami, które pojawiały się w różnych miejscach. Rozbłyskiwały, podskakiwały i mrugały, raz czerwone, w następnej chwili zielone. Wyglądało na to, jakby cała góra obudziła się do życia, wypełniona tym niesamowitym, barwnym cudownym zjawiskiem.

Barry odwrócił się od otwartych drzwi i obserwował moją twarz.

- Świetliki - rzekł lakonicznie.

Odwróciłam się i weszłam za nim do domu.

Salon był podłużny, urządzonej luksusowo i w zaskakująco angielskim stylu. Wydawało się, jakby przesłano drogą powietrzną nowoczesny londyński pokój, żeby osadzić go tutaj, w samym środku tego średniowiecznego zakątka Italii. W jakiś niepojęty sposób poczułam się zawiedziona.

Zaraz jednak zobaczyłam zbliżającą się do mnie dziewczynę i zapomniałam o całej reszcie. Na widok Cathy Denison ogarnęło mnie natychmiast to samo ciepłe uczucie sympatii co wtedy w Londynie.

- Tina - zawołała serdecznym tonem. Jej czarująca twarz płonęła radością, a oczy promieniały. Objęła mnie i impulsywnie szybko przytuliła do siebie, jakbym była jej siostrą, a nie przyszłą pracownicą jej męża. - Nie potrafie wprost wyrazić, jaką czuję radość i ulgę, że panią widzę. Przez cały czas dręczyła mnie obawa, że może pani zmienić swoją decyzję. Jak tam podróż? Dojazd z lotniska tutaj bardzo był uciążliwy? Czy Barry dużo się spóźnił? - Urwała i zaśmiała się nieco zdyszana. - Biedna dziewczyna. Bombarduję tu panią pytaniami zamiast zadbać o to, żeby poczuła się pani swojsko, i zaopatrzyć panią w drinka. Jest pani pewnie straszliwie zmęczona. Najpierw ta potworna jazda koleją, a potem jeszcze skuter Barry'ego, żeby dopełnić miary! - Wesołość zniknęła nagle z jej twarzy. - Mam nadzieję, że Barry

wyjaśnił pani wszystko, co się tyczy wozu - rzekła z wahaniem. - Dlaczego nie mogliśmy zdradzić Stevenowi, po co go potrzebujemy.

- Tak, orientuję się - odparłam spokojnie. Poślawszy Barry'emu spojrzenie zauważyłam, jak odpręża się pod wpływem mojego uśmiechu. Wiedział, że w tym momencie na pewno nie powiem, co myślę o planie Cathy.

Usiadłam w dużym, pokrytym brokatem fotelu i zastanawiałam się, w jaki sposób stromą ścieżką przetransportowano go na górę, ale zabrakło mi wyobraźni.

- Woli pani mocniejszego drinka, Tino, czy coś łagodniejszego?

- Proszę jakiś łagodny.

- A dla ciebie, Barry, whisky?

Cathy przyrządzała drinki przy małym szklanym barku w kącie. Kiedy wracała do nas, jej sandały klapały na gładkiej podłodze. Nogi miała szczupłe i opalone, a w sukience z białą górną częścią wyglądała na mniej niż swoje dwadzieścia pięć lat.

Gdzie ciotka Polly? - spytał Barry pociągnąwszy solidny łyk whisky.

Cathy usiadła na grubym niebieskim dywanie między ogromnymi krzesłami zaopatrzonymi w poręcze, zmarszczyła nos, a w jej oczach zabłysła swawolna wesołość.

- Biedna ciotka Polly ma jeden z gorszych dni. Coś ją ukąsiło. Dosłownie. To tylko mały guz na ramieniu, ale przysięga, że wskutek tego umrze. Robiłam jej zimne okłady, a teraz w swojej sypialni czeka na śmierć.

- A Miriam? - Barry spojrzał na nią.

Pełna wyrazu twarz Cathy zmieniła się zupełnie. Na naszych oczach zdawała się zapadać, zrobiła się blada i spiczasta.

- Pojechała ze Stevenem samochodem. Nie było ich przez cały dzień i do tej pory jeszcze nie wrócili.

Przerwa, jaka nastąpiła, działała przytłaczająco. Chciałam powiedzieć coś, co by przepędziło wyraz rozpaczony z oczu Cathy. Jedną ręką skubała wełniany dywan. Spojrzałam w dół i zauważyłam na jej przegubie bliznę, odcinającą się barwą od gładkiej brązowej skóry.

Nagle spróbowała wziąć się w garść i poczułam wyraźnie, jak stara się otrząsnąć z myśli o mężu i być uprzejmą gospodynią.

- Dałam pani ładny mały pokój, Tino. Tuż obok mojego. Mamy najpiękniejszy widok. Będzie się pani czuła jak na dachu świata.

- Dziękuję - odpowiedziałam. W ostatniej chwili stłumiłam westchnienie, uprzytomniwszy sobie, że Steven Denison nie zaakceptował mnie jeszcze jako swoją sekretarkę, i jest bardziej niż prawdopodobne, że tego nie uczyni.

- Wszystko będzie dobrze, jestem o tym przekonana - rzekła Cathy, jakby czytała moje myśli. - Choćby z uwagi na daleką podróż, jaką pani odbyła. - Troska powróciła na jej twarz, a teraz doszedł do tego strach. - Po prostu musi być dobrze - szepnęła.

Drzwi wejściowe otwarły się, i z sieni dobiegł głos kobiety.

- Ta przeklęta góra, kochanie. Przysięgam, że z każdym dniem robi się coraz bardziej stroma.

Jakiś mężczyzna zaśmiał się, i Cathy natychmiast zwinnym ruchem zerwała się na równe nogi. Z jej twarzy biło takie przerażenie, że część jej strachu przeniosła się na mnie. Również Barry wstał i wpatrywał się w Cathy z troską i napięciem. Kiedy ktoś z zewnątrz nacisnął klamkę, podniosłam się i ja, i wszyscy czekaliśmy w milczeniu, aż drzwi się otworzą.

W tym momencie ujrzałam Stevena Denisona po raz pierwszy. Był wyższy, niż się spodziewałam, i szczuplejszy. W ciemnych włosach pojawiły się pojedyncze srebrne nitki, wyglądał starzej niż na zdjęciach (wiedziałam, że ma dopiero trzydzieści cztery lata).

Nawet w sportowej koszuli z rozpiętym kołnierzykiem i szarych spodniach wyglądał wytwornie. W jakiś posępny sposób był bardzo przystojny, usta miał wrażliwe, a oczy zdradzały naturę marzyciela. Teraz jednak stały się zimne jak lód, a usta zacisnęły w zawziętym, gorzkim grymasie.

- Halo, Cathy - Barry! - Skinął im obojętnie głową, po czym jego wzrok z lekkim zaskoczeniem spoczął na mnie. Uniósł ciemne brwi. - Nie zamierzacie mnie przedstawić tej młodej damie?

Usłyszałam szybki oddech Cathy i ogarnęło mnie straszliwe przeczucie, że wszystko zrobi źle. Steven Denison sprawiał wrażenie człowieka, który sam decyduje o sobie i potrafi postawić na swoim.

- Steven, kochanie, ostatnimi czasy pracowałeś o wiele za ciężko. Ty wiesz, i ja wiem, że nie ma sensu udawać, że tak nie jest. Próbowalam porozmawiać o tym z tobą, lecz obawiałam się, że ty... w każdym razie postanowiłam wziąć sprawę w swoje ręce. - Cathy ze zdenerwowania omal nie zachłystywała się własnymi słowami, a moja odwaga topniała coraz bardziej. Biedna Cathy. Rzeczywiście wszystko popsuka. - Inni mężczyźni je mają, więc nie widzę powodu, żebyś i ty nie miał. Życie byłoby dla ciebie

dużo lżejsze. Miałbyś czas poleżeć czasem na słońcu. Mógłbyś poświęcać gościom trochę więcej uwagi. Może nawet mnie.

Jej głos zamarł i przeszedł w szept. Spojrzałam na Barry'ego. Obserwował Cathy ze współczuciem i niepokojem, a napotkawszy mój wzrok, uniósł oczy ku niebu.

- Co więc chcę powiedzieć...

- Tak, Cathy, co właściwie chcesz powiedzieć?

Głos Stevena Denisona brzmiał ostro ze zniecierpliwienia, a wargi jego żony drżały, jakby lada chwila miała wybuchnąć płaczem. Sądzę, że uświadomiła sobie, jak głupio zabrała się do rzeczy, i że nie było nadziei na doprowadzenie sprawy do pomyślnego końca. I dlatego wtrąciłam się. Wiedziałam, że tak nie wypada. Ale Cathy ledwo panowała nad sobą i chciałam jej oszczędzić załamania nerwowego.

- Pańska małżonka chciała panu tylko wyjaśnić, że zatrudniła mnie jako pańską sekretarkę. Przyleciałam dzisiaj z Anglii.

Umilkłam nagle, gniew w jego oczach odebrał mi mowę. Obrócił się gwałtownie do Cathy, a jego głos brzmiał jak uderzenie batem.

- Czy to prawda? Naprawdę ściągnęłaś z Anglii tę kobietę?

- Posłuchaj, stary - wtrącił się z oburzeniem Barry. Steven Denison zignorował go i podszedł bliżej do żony.

- Czy to prawda?

Cathy cofnęła się i położyła na wargach drżące palce.

- Zrobiłam to dla ciebie, Steven. Chciałam ci tylko trochę ulżyć. Próbowałam ci pomóc.

Odpowiedź małżonka była krótka i dosadna. Użył słowa, jakiego nie słyszy się normalnie w dobrym towarzystwie.

- Posłuchaj, Denison! - Jasną twarz Barry'ego powlekł gniewny rumieniec. Znów został zlekceważony, a zimne szare oczy spoczęły na mnie.

- Jak się pani nazywa?

Dumnie podniosłam głowę, żeby sobie nie wyobrażał, że może mnie zastraszyć.

- Tina Romberg.

- I dziś przyleciała pani z Anglii? Potwierdzająco skinęłam głową.

- W takim razie proponuję, panno Romberg - wypowiedział moje nazwisko, jakby to było jakieś nieprzyzwoite słowo - proponuję, żeby jutro poleciała pani z powrotem.

Tłumiąc szloch Cathy minęła mnie i wybiegła z pokoju. Barry wykonał ruch, jakby zamierzał podążyć za nią, w końcu jednak został na swoim miejscu. Minę miał bezradną i zmieszaną.

Steven Denison i ja popatrzyliśmy sobie bacznie w oczy, jak dwaj wojownicy szykujący się do pojedynku.

- Oczywiście, że wrócę jutro do domu - oznajmiłam jasnym, mocnym głosem. - Odkąd pana poznałam, wiem, że nic w świecie nie potrafiłoby mnie skłonić do pracy dla pana. Opuszczę ten dom z największą przyjemnością.

- Ta przyjemność będzie obopólna, panno Romberg. - W ledwo zauważalny sposób skinął głową, obrócił się na pięcie i opuścił pomieszczenie.

- Coś takiego! - Barry wyciągnął wielką białą chustkę i ocierał mokre czoło. - Chyba zaryzykuję jeszcze jednego drinka. A pani?

Potrząsnęłam głową, nie miałam siły mówić.

- Fantastycznie stawiała mu pani czoła. Wie pani, że pani oczy znowu są zielone? To właściwie dziwne, nie uważa pani?

- Bardzo dziwne.

Wyczerpana usiadłam w fotelu. Barry, napełniwszy przy barze swoją szklaneczkę, zajął miejsce naprzeciwko.

- Biedna mała Cathy - powiedział ze smutkiem. - A tym bardziej pani! Co za okropna sytuacja. -- Zmarszczył czoło i pociągnął głośno whisky. - Najchętniej stłukłbym go na kwaśne jabłko. Już nieraz o tym myślałem. Ale gdybym to rzeczywiście zrobił, dałbym mu pretekst do tego, żeby natychmiast mnie wyrzucił. Mam jednak przeczucie, że akurat teraz powinienem być w pobliżu.

Czułam, że chce się usprawiedliwić za swoją bierność podczas tej brzydkiej sceny, i uśmiechnęłam się uspokajająco, mówiąc:

- Nie sądzę, żeby zabicie kogoś dało jakiś skutek.

- Mimo to może jeszcze kiedyś dojść do tego - oświadczył gniewnie. - Można znieść tylko pewną określoną ilość. A nie przepadam za mężczyznami, którzy przeklinają w obecności dam.

Usłyszawszy to zdanie, wybuchnęłam jasnym śmiechem. Bóg raczy wiedzieć, dlaczego. Może po prostu dlatego, że w przeciwnym razie rozplakałabym się na głos.

Wkrótce potem wróciła Cathy. Zaskoczył mnie jej pogodny nastrój i radosny uśmiech. Kiedy jednak zauważyłam zaczerwienione obwódki oczu,

przypomniałam sobie, że jest przecież Catherine Carsten, aktorką, i prezentuje mi właśnie próbkę swojej sztuki.

- Okropnie mi przykro, Tino. Pewnie naprawdę uważa mnie pani za idiotkę. Nie powinnam była zaskakiwać Stevena tą wiadomością przed kolacją. Mężczyźni zawsze są nieprzystępni, kiedy nic wcześniej nie jedli. Po kolacji będzie zupełnie innym człowiekiem, zobaczy pani. Przypuszczam, że i pani jest bardzo głodna.

- Ani trochę. Przyznaję jednak, że jestem strasznie zmęczona. Nie miałyby pani nic przeciwko temu, gdybym zrezygnowała z posiłku i poszła od razu spać? Chętnie bym solidnie odpoczęła przed jutrzejszym powrotem do kraju.

- Ależ naturalnie, musi to pani zrobić. Przyniosę pani coś do pokoju. I proszę, niech pani nie mówi o wyjeździe. Jestem przekonana, że Steven nie to miał na myśli. Przeważnie bardzo szybko zmienia zdanie, ale skąd miała by pani o tym wiedzieć.

Niemożliwe, żeby Cathy była tak pewna siebie, jak udawała. Było jasne jak słońce, że Steven Denison nie zamierza zmieniać swej decyzji. A nawet gdyby to uczynił, to teraz ja bym nie chciała. Nic już nie mogło mnie skłonić do pracy dla niego.

Sypialnia była ładna, urządzona z kobiecym smakiem i bez oglądania się na koszty. Podobnie jak wcześniej salon rozczarowała mnie jednak - w tej zapadłej wiosce luksus wydawał się jakoś nie na miejscu. Mimo to Cathy zadała sobie przypuszczalnie wiele trudu i urządziła pomieszczenie tak, bym czuła się jak w domu.

Zajrzała jeszcze później, kiedy wzięłam kąpiel i leżałam w łóżku. Na srebrnej tacy przyniosła mi pyszną sałatkę w drogocennym kryształowym naczyniu. Garnirunek tworzyły cieniutkie plasterki ogórka i maleńkie czerwone pomidory. Na talerzyku obok leżała duża porcja kurzego mięsa. Sądziłam wcześniej, że nie jestem głodna, lecz nagle zdałam sobie sprawę, jak bardzo się myliłam. Czułam się niemal zażenowana uprzejmością Cathy.

- Nie warto było zadawać sobie tyle trudu - powiedziałam. - Wystarczyłaby jakaś kanapka.

Usiadła obok łóżka i patrzyła z zadowoleniem, jak zajadam z apetytem.

- Po wszystkim, co się stało, sędzę, że winna jestem pani szczerze wyjaśnienie - oświadczyła. - Przynajmniej tyle mogę dla pani uczynić. - Zawahała się, w jej oczach zabłysła niepewność. - Kiedy postanowiłam poszukać dla Stevena sekretarki, przeczuwałam w głębi serca, że się z tym nie zgodzi. Podejmując tę decyzję, nie myślałam w zasadzie tak bardzo o

nim. Zarówno pani, jak i Barry sądzą pewnie, że postąpiłam nierozważnie. Nie wiecie jednak, że i ja byłam egoistką.

- Nie rozumiem.

- Kiedy zaprosiłam te dziewczyny na rozmowę - -może mi pani wierzyć, że kombinacja Italii ze Steve'em Denisonem przyciągnęła ich całe stado - kiedy się im przyglądałam, to nie szukałam dziewczyny, która by pasowała do niego. Próbowałam jedynie znaleźć kogoś dla siebie. Wie pani, byłam dosyć przygnębiona i wyczerpana. - Mówiła bardzo szybko, i uświadomiłam sobie, że choć mówi prawdę, nie dowiem się wszystkiego. - Myślałam tylko o tym, że potrzebuję kogoś, kto mógłby mi dotrzymać towarzystwa, będzie pogodny i...

- Cathy - przerwałam jej. - Sądzę, że powinna pani wiedzieć, iż Barry opowiedział mi, co wydarzyło się w owym hotelu.

- Co pani powiedział... - Otworzyła usta i popatrzyła na mnie speszonym wzrokiem. Następnie powolnym ruchem chwyciła się ręką za szyję. Jej oczy rozszerzyły się, jakby raz jeszcze przeżywała grozę tamtej chwili. - Czy Barry powiedział pani, że ktoś usiłował mnie zamordować?

Skinęłam głową i odsunęłam tacę. Apetyt nagle mi przeszedł. Patrzyłam w oblicze Cathy, szczupłe i zatroskane.

- Wolałabym, żeby tego nie zrobił - mruknęła. - Och, jakże wolałabym, żeby milczał.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Nie przychodziło mi nic do głowy. Odsunęłam tacę jeszcze dalej na skraj łóżka i spuściłam głowę, żeby dać jej czas na opanowanie się. W końcu się uspokoiła.

- Ale może to i dobrze, że wszystko pani powiedział. Winna jestem pani wyjaśnienie całej prawdy, i teraz ją pani pozna. Od tamtej nocy w hotelu boję się. Okropnie się boję. Nie znam dnia bez strachu.

Podniosłam wzrok i zobaczyłam ten strach w jej oczach. Ogarnęła mnie fala współczucia.

- To już minęło - szepnęłam uspokajająco. - A ten hotel jest daleko stąd.

- Ale ludzie, którzy przebywali wtedy ze mną w hotelu, są bardzo blisko. - Kilka razy przemierzyła pokój, po czym usiadła z powrotem w fotelu stojącym obok łóżka. - Wszyscy tam byli owej nocy - Steven, Barry, ciotka Polly, Miriam i Betty, moja pokojówka. Oprócz nas mieszkało w hotelu zaledwie parę osób, wszystko obcy.

- Mimo to inni też musieli wiedzieć, że pani tam mieszka - zauważyłam uspokajająco. - Ostatecznie nie robiła chyba pani z tego tajemnicy. Ktoś inny

też mógł wejść bez trudu do hotelu, który w końcu stoi otworem dla wszystkich, którzy chcą w nim zjeść.

- Podobnie uważała policja. Tak blisko lotniska przepływ gości jest, naturalnie bardzo duży. Policjanci byli niemal pewni, że człowiek, który... - urwała, lecz za chwilę podjęła mocnym głosem: - Człowiek, który chciał mnie zabić, bardzo łatwo mógł się dostać z zewnątrz.

- Widzi pani! - zawołałam. - Musiał to być jakiś szaleniec albo złodziej, może włamywacz. Ale to już minęło, Cathy. Jest pani teraz wiele kilometrów od tamtego miejsca, i nie mogła pani wybrać bardziej ustronnego niż to tutaj. Dotrzeć tu naprawdę niełatwo. Naturalnie było to dla pani okropne przeżycie. - Umilkłam nagle i poczułam suchość w gardle, jakbym widziała niewyraźny cień pochylający się nade mną, żeby mnie udusić. Przełknęłam kurzowo ślinę i ciągnęłam dalej: - Bardzo dobrze rozumiem, że po takim przeżyciu musi pani mieć zszarpane nerwy. Ale to się już nie powtórzy. Jest pani teraz bezpieczna.

Głos zamarł mi w gardle. Zadrżałam widząc wyraz jej oczu.

- Tino - powiedziała powoli. - Obiecałam pani całą prawdę. Naprawdę chce ją pani usłyszeć? Czy lepiej dać temu spokój?

Zawahałam się jedynie sekundę.

- Sądzę, że wolałabym poznać całą prawdę.

Jej oczy w szczupłej bladej twarzy wydawały się o wiele za duże, i nie próbowała już ukrywać przede mną swego strachu. Nie grała roli jak na scenie. Widziałam Cathy Denison taką, jaką była w rzeczywistości.

- Człowiek, który usiłował mnie zabić, znajduje się w tym domu.

Od drzwi dobiegł jakiś stłumiony odgłos. Cathy skoczyła do drzwi i otworzyła je szeroko. Wyszła na korytarz, po czym wróciła powoli na swoje miejsce.

- Wydawało mi się, że słyszę kogoś.

- Cathy, co pani chce zasugerować... mówiąc, że człowiek, który chciał panią zabić, przebywa w tym domu? - zapytałam. - Dlaczego pani tak przypuszcza?

Podejrzliwie zerknęła na drzwi, po czym pochyliła się ku mnie i zniżyła głos, który brzmiał bardzo niepewnie.

- Listy - powiedziała. - Dostałam już trzy. Znajduję je pod poduszką. Podłe listy z pogrózkami, przez które nie mogę spać po nocach. Leżę bezsennie i boję się ciemności.

Wzdrygnęła się. po czym nagle skryła twarz w dłoniach i zaczęła cicho płakać. Podniosłam się na łóżku i siedziałam sztywno wyprostowana wpatrując się w jej opuszczoną głowę.

- Naturalnie pokazała pani te listy policji. Potrząsnęła głową, potem przeciągnęła się, otarła łzy z oczu i z drżeniem zaczerpnęła powietrza.

- Co by to dało? Jeśli nawet ja nie wiem, kto pragnie mojej śmierci, skąd oni mieliby to wiedzieć?

- Charakter pisma...

- Pisane są na maszynie. - Cathy opanowała się i mówiła już o wiele spokojniej. - Każdy z dotychczasowych listów pisany był na zwykłym białym papierze, na maszynie Stevena. - Wstrzymałam oddech, ona zaś spieszenie ciągnęła dalej - Oczywiście niczego to nie dowodzi. Każdy w tym domu może wejść do jego gabinetu i skorzystać z jego maszyny do pisania.

- Co pani zrobiła z tymi listami?

- Spaliłam je. Musiałam je zniszczyć, Tino. Były tak strasznie podłe. Obwinały mnie o najgorsze rzeczy. I te wyrażenia, jakich użyto... - Urwała i zacisnęła wargi. - Musiałam je spalić. Nie mogłam dopuścić do tego, by ktoś przeczytał te brudy.

- Mimo to uważam, że policja powinna o nich wiedzieć.

- Mam dość policji - zawołała z niespodziewaną zaciekłością. - Kiedy leżałam wtedy w szpitalu - pytania, pytania, nie kończące się pytania! A rezultat - żaden! Jakoś to przeżyłam, ale drugi raz bym nie zniosła. - Umilkła przygnębiona.

- Opowiedziała pani mężowi o tych listach? Jej twarz skurczyła się w grymasie rozpacz.

- Tylko pani o tym wie. Dobry Boże, czy pani tego nie rozumie? Jak mogłabym wtajemniczyć Stevena? Albo kogoś innego? Nie ma tu człowieka, któremu mogłabym zaufać.

Jej głos przeszedł w ledwo słyszalny szept. Usilnie próbowała się opanować, żeby nie-rozkleić się po raz drugi. Byłam zupełnie zmieszana i straszliwie zmęczona. Nagle Cathy podniosła głowę i mówiła dalej niemal normalnie:

- Z tego powodu postanowiłam znaleźć kogoś, komu będę mogła zaufać. Strach może człowieka zniszczyć, Tino. Ale bać się i być samemu to jeszcze gorsze. Dlatego szukałam dziewczyny, której mogłabym wszystko opowiedzieć. Musiała mieć ściśle określony charakter - życzliwa, uczciwa i dzielna. Oto cała prawda, Tino. Wiedziałam, że spełnia pani wszystkie te warunki,

ledwo przekroczyła pani próg mojego mieszkania. Sprowadziłam panią tutaj z własnych egoistycznych pobudek i miałam nadzieję, że jakoś przekonam panią do zostania. Jeśli teraz jeszcze może to pani coś dać i stanowić jakąś pociechę, to bardzo się wstydzę, że wpakowałam panią w taką sytuację.

- Nie musi się pani wcale usprawiedliwiać. Doskonale panią rozumiem. Przynajmniej... - Urwałam, gdyż naszły mnie wątpliwości. - Nie, wszystkiego jednak nie rozumiem. Dlaczego chciała pani koniecznie zaufać obcej osobie? Na pewno ma pani bardzo wielu przyjaciół. A co z własną rodziną?

- W teatrze ma się mnóstwo znajomych, lecz rzadko prawdziwych przyjaciół. Rodziny nie mam. Wychowałam się w sierocińcu i nie wiedziałam nawet o istnieniu ciotki Polly i Barry'ego. Dowiedziałam się dopiero parę miesięcy temu.

- Cathy! - rozległ się z głębi domu głos Barry'ego. - Cathy, gdzie jesteś?

Podniosła się spieszenie.

- Muszę już iść. Przykro mi, że naraziłam panią na tyle przykrości. Nie miałam do tego prawa. Proszę mi wybaczyć, Tino. Jutro powinna pani wrócić do swego pięknego rodzicielskiego domu i cudownie nieskomplikowanego życia. Proszę zapomnieć, że kiedykolwiek wyrwałam panią z pani świata. A jeśli nie może pani zapomnieć, to niech pani spróbuje mi przebaczyć.

- Cathy! Jak pani może siedzieć tutaj w takim stanie ducha? Dlaczego nie pojedzie pani ze mną do mojego domu? - Mówiłam zupełnie impulsywnie i chyba byłam tak samo zaskoczona jak ona. Zatrzymała się przy drzwiach i wpatrywała we mnie. W jej spojrzeniu malowało się coś jakby nadzieja. - Parafia ojca położona jest w Leeds. Chyba już pani wspominałam, że jest duchownym. Tylko ja mieszkam jeszcze z rodzicami, bracia pożenili się, a siostry powychodziły za mąż. Mamy dość miejsca, i wiem, że moi rodzice przyjęliby panią bardzo serdecznie.

- Nie pomyliłam się co do pani - odparła w zamyśleniu Cathy. - Wtedy wiedziałam od razu, że jest pani miła i wspaniałomyślna. I uważam, że pani propozycja jest po prostu cudowna... Móc stąd odejść... Żyć w normalnej sympatycznej rodzinie... Ale to oczywiście wykluczone. Czy nie widzi pani, że nie ma dla mnie ucieczki? W pani domu rodzinnym mogłabym się pewnie ukryć na jakiś czas, lecz kiedyś musiałabym wrócić do świata. Nie mogę ciągle odwracać się do życia plecami! Nie znoszę już tej wiecznej niepewności. Muszę to wyjaśnić. Nie rozumie pani? Muszę wiedzieć.

- Niewykluczone, że będzie to możliwe dopiero wtedy, gdy będzie już dla pani za późno. - Wypowiedziałam te słowa bez zastanowienia i najchętniej ugryzłabym się w język widząc cień, jaki w tym momencie przemknął po twarzy Cathy.

- Zdaję sobie z tego sprawę - odparła. - Muszę wziąć na siebie to ryzyko. A kiedy przyjdzie ta chwila i stwierdzę, że morderca... - Opamiętała się chyba i urwała, by ciągnąć dalej rzeczowym tonem. - Czasami lepiej umrzeć niż poznać prawdę, która jest tak straszliwa, że i tak nie można z nią dalej żyć.

To mówiąc zostawiła mnie samą. Przez jakiś czas przewracałam się niespokojnie z boku na bok. Noc była ciepła i cicha. Przez ścianę docierały do mnie ściszone głosy, które przerywało niekiedy przenikliwie czyste klaskanie słowika. Za oknem bez przerwy brzęczały owady.

Odrzuciłam kołdrę i wcisnęłam twarz w poduszkę. Pewne obrazy wciąż wracały mi przed oczy. Pasażerowie na lotnisku, którzy głośno krzycząc tłoczyli się wokół mnie. Morderstwo... morderstwo ... morderstwo! krzyczeli wszyscy coraz głośniej. Zatkałam sobie uszy i usiadłam nagle drżąca w przyływie paniki. Natychmiast włączyłam światło, wypłam trochę soku pomarańczowego i zjadłam suche ciasteczko. Kiedy z powrotem opadłam na poduszki, poczułam się nieco spokojniejsza.

Moje powieki zamknęły się jakby pod wielkim ciężarem. Obrazy powróciły. Ale strach minął - pozostał tylko melancholijny smutek.

Widziałam twarz Barry'ego Knighta, zaczerwienioną i zmieszaną. Brzydka historia.

Potem pojawiła się Cathy, uśmiechała się, lecz jej oczy pozostały poważne. Czasami lepiej umrzeć.

Potem wszystko zniknęło, i widziałam tylko Stevena Denisona. Jego twarz była twarda i okrutna, a oczy zimne, lecz dopiero teraz odkryłam ślady cierpienia wokół ust. Te usta należały do człowieka zranionego do głębi.

W dalszym ciągu myślałam o jego ustach, kiedy wreszcie zasnęłam. Tak bardzo cieszyłam się, że zobaczę uśmiech Stevena Denisona, tak chciałam wiedzieć, jak wtedy będzie wyglądał. Przeszył mnie ostry ból rozczarowania, gdy uświadomiłam sobie, że nigdy się tego nie dowiem.

Rozdział trzeci

Następnego ranka obudziłam się bardzo wcześnie, lecz czułam się cudownie odświeżona. Mimo że spędziłam dotąd w Bartessie zaledwie parę godzin, dał się już zauważyć wpływ czystego, przejrzystego powietrza na całe moje samopoczucie.

Moja pierwsza myśl odnosiła się do wydarzeń poprzedniego wieczoru, ale w jasnych promieniach słońca uczucie przerażenia ulotniło się bardzo szybko. Postanowiłam rzucić wreszcie okiem na otoczenie willi - wczoraj było już na to za późno. Stok opadał stromo ku morzu, lecz w świetle dnia zauważyłam, że góra nie jest wcale taka wysoka, jak wyobrażałam sobie pod wpływem zmęczenia.

Ze swojego okna widziałam jedynie małą część wioski. Willa leżała nieco na uboczu, zwrócona ku zabudowaniom wioski, lecz budynki i ulice otaczające zamek ukryte były przed moim wzrokiem.

Patrzyłam zachwycona na błyszczącą zieleń łąk i cudowne barwy dzikich kwiatów, które pieniły się wszędzie. W pobliżu willi rosły drzewa oliwkowe, pod którymi igrały fioletowe cienie.

A daleko w dole lśniło morze, kłując w oczy promiennym szafirowym blaskiem. Z tej wysokości plaża wydawała się maleńka, wąski pasek białego piasku.

Śniadanie podawano na zadaszonym tarasie przed willą. Włożyłam nową turkusową sukienkę, a do tego białe buty na wysokim obcasie.

Kiedy wyszłam na taras, Barry Knight skinął uprzejmie głową, a jego niebieskie oczy lustrowały mnie z uznaniem.

- Dzień dobry, Tino. Sukienka jest naprawdę czarująca. Podziękowałam mu za komplement, nie tając smutnych uczuć.

- Kupiłam ją specjalnie na lato w Bartessie. Dlatego też zdecydowana jestem nosić ją tutaj, choćby i przez godzinę.

Także Cathy rzuciła jakąś uwagę na temat sukienki. Ona sama w krótkich cytrynowych szortach i dopasowanym do nich wdzianku wyglądała po prostu czarująco.

Potem jednak na taras wkroczyła Miriam, i w jednej chwili odniosłam wrażenie, że Cathy i ja mogłybyśmy równie dobrze być ubrane w szare płótno workowe. Po prostu nas przyćmiła. W obecności Miriam Osten nawet Cathy sprawiała wrażenie Kopciuszka.

Jej uroda nie wzbudziła we mnie zazdrości tylko uczucie najwyższego podziwu. Radowało mnie piękno nieba, morza i kwiatów. A teraz ten sam bezosobowy zachwyty odczułam na widok Miriam.

Urocza osóbką obleczona była w ściśle przylegającą do ciała białą szatę. Strój był do tego stopnia dopasowany, że jedynie kobieta idealnie zbudowana mogła zaryzykować chodzenie w czymś takim. Nie miała nic do ukrycia i nawet nie próbowała tego robić.

Miriam uśmiechnęła się do Cathy i Barry'ego bez odrobiny ciepła. Potem przedstawiono jej mnie. i uśmiech Miriam stał się jeszcze bardziej chłodny. Usiadła lekko na krześle i westchnęła.

- Co za upał! Jestem wykończona. Zupełnie wykończona. Zbyt gorąco, żeby jeść cokolwiek. - Otrząsnęła się z gracją na samą myśl o jedzeniu. - Skosztuję tylko paru winogron.

- Jeśli to pani zrobi, dostanie pani skrętu kiszek i będzie miała za swoje.

Na dźwięk gderliwego głosu zerwałam się wystraszona z krzesła i odwróciłam do starszej damy, która pojawiła się na tarasie. Ubrana była w o wiele za długą czarną spódnicę i ciemnoniebieski rozpinany sweter. Zbliżała się do stołu bombardując nas po kolei gniewnymi spojrzeniami.

- To wbrew naturze, że winogrona rosną tutaj po prostu w ogrodzie - rzędziła. - Winogrona powinno się przynosić ze sklepu, zawinięte w higieniczny celofan, jak Pan Bóg przykazał.

Miriam obserwowała staruszkę z nieskrywaną odrazą, wysunęła do przodu piękne wargi i pogardliwie wypluła pestkę ponad niską ścianą z kwiatów. Cathy zwróciła się do starszej damy.

- Na co masz ochotę, ciociu Polly? My jedliśmy tylko bułeczki, ale jeśli masz apetyt, Carlotta przyniesie ci z kuchni świeżą kiełbasę i galantynę.

- Cóż to znowu za pogańska trucizna? Nie! Nawet mi nie mów. I tak nic nie zjem. Czy po to tylko mam się napychać, żeby moskity miały ucztę?

- Jak twoja ręka, ciociu Polly?

- Zastanawiałam się już, kiedy raczysz o to zapytać, Cathy. Jest gorzej. Na wszelki wypadek powinnaś wezwać lekarza. Jest całkiem rozsądny, zważywszy, że to cudzoziemiec.

Opadła ciężko na wyplatane krzesło, które zatrzeszczało głośno protestując, po czym zmierzyła mnie przenikliwym spojrzeniem.

- A więc to pani jest dziewczyną, którą Cathy zaangażowała dla Stevena. Moim zdaniem trochę za chuda. I farbowane włosy.

- O nie! - zawołałam. - Kolor jest naturalny, naprawdę.

Jej twarz złagodniała nieco.

- W takim wypadku nie może pani zrobić nic innego, tylko się z tym pogodzić, moje dziecko. Każdy musi dźwigać swój krzyż.

Z gardła Miriam wydobył się dźwięk, do złudzenia przypominający chichot, ale z trudem zachowując powagę udała, że połknęła pestkę. Starsza dama posłała jej karcące spojrzenie, po czym znowu zwróciła się do mnie.

- Czy pochwała pani rozwody?

To niespodziewane pytanie zaskoczyło mnie trochę.

- Nie zastanawiałam się jeszcze nad tym - - wyznałam. - Nie jestem mężatką.

- Ho ho! A więc zamierza pani poczekać, aż będzie pani mężatką, żeby zająć się tym problemem.

- Tego nie twierdziłam. Nie to miałam na myśli. - Wszyscy młodzi ludzie są w tym punkcie zgodni.

Dzieje się coraz gorzej. Nikt nie ma już szacunku dla instytucji małżeństwa. Rodzice Barry'ego też się rozeszli. A co się tyczy tej młodej damy... - Ciotka Polly odwróciła się gwałtownie i wlepiła wzrok w Miriam, która otworzyła akurat usta, by skonsumować następne winogrono. - A co się tyczy tej młodej damy, to pozbyła się już dwóch mężów. Teraz zaś węszy wszędzie, chcąc złapać następnego.

Uwaga ta, jak się zdaje, nie zmąciła spokoju Miriam, która była już przyzwyczajona do druzgocącej szczerości starszej damy.

- A więc nie zastanawiała się pani jeszcze nad kwestią rozwodu - zwróciła się do mnie znowu ciotka Polly. - Bardzo byłabym pani zobowiązana, gdyby to pani kiedyś uczyniła. I zechciała wyjawić mi swoje zdanie. Pani twarz wyraża pewien stopień inteligencji. Pani poglądy bardzo by mnie interesowały.

Na taras weszła dziewczyna, niosąca na tacy gorącą aromatyczną kawę i świeże bułeczki. Ruchy miała niezgrabne, i kiedy obsługiwała obecnych, kawa wylewała się na podstawki.

- Rzadki okaz idiotki rzekła ciotka Polly nie ścisząc głosu. Dziewczyna posłała jej nienawistne spojrzenie i pobiegła do domu. - A więc, moje dziecko, proszę zaczynać! Głośno i wyraźnie, proszę. Chcę poznać pani zdanie na temat rozwodów.

- Jestem przekonana, że w niektórych przypadkach, kiedy dwoje ludzi jest bardzo nieszczęśliwych ze sobą, rozwód wydaje się najlepszym rozwiązaniem.

Ciotka Polly prychnęła tak głośno i z taką pogardą, że aż wzdrygnęłam się. Barry pochylił się ku mnie ponad stołem, by podać mi koszyk z bułkami, i rzekł cicho, nie kryjąc rozbawienia

- Jest pani w tarapatach, Tino. Niech pani ustąpi, bo inaczej ciotka pozostanie pani wrogiem do końca życia. Rozwody to jedyny temat, który potrafi ją naprawdę zdenerwować.

- Co tam mruyczysz, mój chłopcze? - zawołała starsza dama władczym tonem. - Czyżbyś próbował się jej oświadczyć?

- Nie! Na miłość boską, nie! - Twarz Barry'go powlekl płomienny rumieniec.

Ciotka Polly zostawiła mnie w spokoju. Przeegzaminowała mnie i uznała, że zasługuję na ocenę niedostateczną. Następnym jej celem była Cathy.

- Gdzie właściwie podziewa się twój mąż? Nie opowiadaj mi, że o tej porze już pracuje.

Cathy uśmiechnęła się do niej, i stwierdziłam ze zdziwieniem, że czuje do starszej damy autentyczną sympatię.

- Wyjaśniłam ci już przecież, że najchętniej pracuje, dopóki jest stosunkowo chłodno. Nawiasem mówiąc, Tino, prosi, żeby go pani odwiedziła po śniadaniu. Mam nadzieję, że przez noc namyślił się - i może pani zostać.

- Dużo bardziej prawdopodobne, że ma już w kieszeni bilet powrotny dla dziewczyny - mruknęła ciotka Polly z pełnymi ustami. Najwidoczniej zapomniała tymczasem o swojej przysiędze, że nie będzie nic jeść. - Zrobiłaś wielki błąd, Cathy, wdając się w tę idiotyczną historię z angażowaniem mu sekretarki. Będzie cię to kosztować niezłą sumkę. Poza tym rozgniewałaś własnego męża. A teraz w dodatku będziesz miała na sumieniu śmierć tej dziewczyny.

Z wrażeń połknęłam duży kęs bułki.

- Co chce pani przez to powiedzieć - moją śmierć?

- Pani samolot się roztrzaska. Miewam wizje. I widziałam wyraźnie. Nikt nie przeżyje katastrofy. Nikt! - powtórzyła z satysfakcją.

Wszyscy zamarli w milczeniu.

- Biedna panna Romberg - zaszczebiotała Miriam prowokująco ochryłym głosem. - Co za szok dla jej rodziców!

- Aż tak źle nie będzie. Wyjdzie całkiem tanio. Zadbają o wszystko. - Starsza dama uśmiechnęła się do mnie życzliwie. - Razem z innymi zostanie

pani pochowana w zbiorowym grobie. Pani rodzina zaoszczędzi dzięki temu mnóstwo pieniędzy. Poważną sumę.

- Miło mi to słyszeć - odparłam.

Śniadanie dobiegło końca i Cathy dotknęła lekko mego ramienia.

- Teraz pokażę pani pokój Stevena.

W drodze przez chłodny, mroczny hall uśmiechała się do mnie nieco zażenowana.

- Pani ciotka Polly - zaczęłam. - Czy ona jest...

- Szalona? - Cathy zaśmiała się z rozbawieniem. - Nie, nie można by chyba tego twierdzić. To poczciwa stara dziwaczka, i pewnie naprawdę wierzy, iż posiada dar widzenia przyszłości. Od lat żyła w zupełnym odosobnieniu, i zapewne nigdy nie skłoniłabym jej do opuszczenia domu, gdyby nie spalił się do fundamentów.

- Miły Boże! Ale chyba nie była w środku, kiedy to się stało?

- Była. Tak samo jak ja. Uratowałyśmy się w ostatniej chwili. Tuż po naszym wyjściu budynek się zawalił. - Wyciągnęła szczupłą rękę i pokazała mi brzydką bliznę na przegubie, która już wcześniej rzuciła mi się w oczy. - Pamiątka po miejscu, gdzie dawniej chętnie bywałam. Ta blizna nie zniknie mi do końca życia. Latem, gdy jestem opalona, nie wygląda tak źle, ale białą rękę strasznie szpeci.

- Kiedy to się stało?

- Mniej więcej na miesiąc przed naszym przylotem do Włoch.

- Jak wybuchł pożar?

- Nie wiem. Nikt nie wie. Byłam wtedy w Anglii i odwiedziłam ciotkę. Przewrócił się olejowy piec, który stał w korytarzu, ale nie udało się wyjaśnić, jak mogło dojść do tego. W momencie, kiedy to się stało, niezbyt interesowałam się takimi rzeczami. Pożary, których nie da się wyjaśnić, nie są wcale taką rzadkością. Ale po tym - po tym, co wydarzyło się hotelu - nasunęły mi się różne pytania. Teraz jest jednak za późno, by znaleźć na nie odpowiedzi, i pewnie nigdy nie poznamy prawdy.

Tymczasem znalazłyśmy się w bardzo wąskim korytarzyku, który zdawał się nie pasować do reszty przestronnego budynku.

- To przejście prowadzi do małego domku - wyjaśniła Cathy. - Kiedy Steven był jeszcze kawalerem, mieszkał całkiem sam w tym śmiesznym małym domku. Po naszym ślubie kazał dla mnie zbudować dużą willę. W dalszym ciągu tu śpi i pracuje w dawnym gabinecie.

Zatrzymałyśmy się przed drzwiami, i Cathy posłała mi uśmiech siląc się na wesołość.

- Zostawiam teraz panią samą. Mam nadzieję, że Steven poprosi panią, by pozostała pani z nami. Jeśli to zrobi, zgodzi się pani, Tino, prawda? Proszę mi to obiecać.

- Na razie wolałabym tego nie robić. - Byłam zła na siebie, bo nagle obleciał mnie strach. Bałam się raz jeszcze stanąć oko w oko ze Stevenem Denisonem.

Pokój był długi, wąski i bardzo zakurzony, że nie wspomnę o panującym w nim nieporządku. Encyklopedie, książki i rękopisy leżały spiętrzone w stosy. Był to typowo męski pokój wyposażony jedynie w najniezbędniejsze meble. Nie było nawet biurka. Stał tylko prosty drewniany stół, szafa i dwa twarde krzesła.

Na ścianie naprzeciwko okna wisiał obraz górujący nad całym pomieszczeniem. „Portret dziewczyny”. Cathy spoglądała na mnie w dół ze złoconych ram, rozchyliwszy usta w łagodnym, zamyślonym uśmiechu. W oczach jednak artyście udało się uchwycić wesołość, skrywaną pod całą tą powagą, i trudno się było oprzeć wrażeniu, że Cathy, po skończonym pozowaniu, natychmiast wybuchnie perlistym śmiechem.

- Podoba się pani obraz? - spytał Steven Denison spokojnym, uprzejmym głosem. Odsunął krzesło i obserwował mnie.

Odwróciłam się szybko.

- Tak, bardzo. Jest po prostu cudowny.

- Namalowany został przed sześcioma laty. Zaskakujące, jak niewiele moja żona zmieniła się od tamtego czasu.

Przez grzeczność wolałam nic nie odpowiadać. Pomyślałam bowiem właśnie, jak bardzo inna jest teraz.

- Proszę usiąść, panno Romberg.

Uprzejmie podsunął mi krzesło, czym trochę mnie zaskoczył. Cathy miała jednak rację. Jej mąż rzeczywiście ulegał nastrojom. Ale w następnej chwili otworzyłam szeroko oczy, gdyż Steven Denison uśmiechnął się do mnie. Jego uśmiech był powściągliwy, lecz bez wątpienia czarujący, a w jego inteligentnych oczach zabłyśły ciepłe ogniki.

- Jak już się pewnie pani domyśla, chciałbym panią przeprosić. Poprosić z całego serca o wybaczenie za brzydkie powitanie, jakie pani zgotowałem wczoraj. Jedynym usprawiedliwieniem mego złego zachowania może być to,

że miałem za sobą ciężki dzień. Abstrahując od tego muszę się przyznać, że mam skłonność do wybuchania gniewem.

Przyłapałam się na tym, że z wahaniem odwzajemniam jego uśmiech.

- Ja także muszę pana przeprosić. Na swoją obronę mogę powiedzieć jota w jotę to samo co pan. Ja również niestety jestem popędliwa.

Zaśmiał się z rozbawieniem i życzliwie.

- Tycjanowska blondynka może sobie na coś takiego pozwolić.

Nie zamierzałam dać mu się omamić, lecz nie potrafiłam ukryć swojej radości. Określenie tycjanowska blondynka brzmiało czarująco, jeśli przez całe życie uchodziło się za rudzielca.

- Proponuję, żebyśmy zapomnieli o naszym nieszczęsnym wczorajszym spotkaniu i zachowywali się tak, jakbyśmy się poznali dopiero w tej chwili. - Wysunął rękę ponad stołem, a ja wyciągnęłam swoją, by się spotkały. Palce miał długie i opalone, i choć uścisk jego dłoni nie był tak bolesny jak Barry'ego Knighta, nieodparcie nasuwało się wrażenie ogromnej siły.

Nagle Steven wstał, podszedł do okna i ponownie odwrócił się do mnie. Serdeczność zniknęła z jego oczu.

- Chociaż żałuję swej nieuprzejmości, nie zmienia to w niczym mojej decyzji. Postąpiła pani nierozważnie dając lic namówić mojej żonie do wzięcia udziału w jej spisku.

- Ależ nie miałam pojęcia... - Natychmiast urwałam, dostrzegłszy błysk zrozumienia w jego oczach.

- A więc Cathy okłamała panią.

- Nic z tych rzeczy. Wcale jej nie pytałam, czy zgadza się pan na zaangażowanie sekretarki. Całkiem po prostu założyłam z góry pańską zgodę. Nie może być zatem mowy o kłamstwie.

- Z pewnością! Ufa jej pani. Musi się pani nauczyć mniej ufać ludziom, panno Romberg.

Odwrócił się nieco ode mnie i ponurym wzrokiem patrzył na ulicę. Po chwili podjął przerwana rozmowę.

- Czuję się odpowiedzialny za postępowanie mojej żony i zdaję sobie sprawę, że zasługuje pani na odszkodowanie za poniesione trudy. Kupię pani bilet powrotny i wypłacę trzymiesięczną pensję.

Była to wspaniałomyślna propozycja, lecz ku własnemu zdumieniu usłyszałam, jak mówię, że nie mogę jej przyjąć. Nie pozwalała na to moja duma.

- Bilet powrotny to wszystko, czego potrzebuję. Ponownie zauważyłam zmianę nastroju w zachowaniu

Denisona.

- Niech pani będzie rozsądna, panno Romberg. - Nie sposób było nie dosłyszeć życzliwości w jego głosie. - Jest pani we Włoszech, na dodatek w najlepszej porze roku, dlaczego nie miałyby pani przynajmniej zrobić sobie urlopu? Podwyższę jeszcze swoją propozycję. Dodatkowo na miesiąc wynajmę pani pokój w hotelu i ponosił będę wszelkie koszty. Proszę przejechać się wzdłuż wybrzeża, wyszukać sobie jakieś kąpielisko i skorzystać ze słonecznych dni.

- Dziękuję, lecz wolę wrócić do domu.

Moja odmowa była naturalnie szaleństwem, sama nie wiem, dlaczego odrzuciłam jego propozycję.

- Jak sobie pani życzy. - Wzruszył ramionami, jakby uznał mnie za beznadziejny przypadek. - Muszę teraz pojechać do Foro, żeby stamtąd zatelefonować, nie sądzę więc, żebym wrócił przed wieczorem. Nie robi pani różnicy, jeśli zostanie pani do jutra?

Odparłam, że nie mam nic przeciwko temu. Na pożegnanie nieznacznie skinął głową i wrócił do swoich zajęć. W następnej chwili pogrążył się już w pracy, i nim dotarłam do drzwi, pewnie zapomniał o mnie.

Ostatnią rzeczą, jaka widziałam w pokoju, był portret Cathy. A gdy raz jeszcze spojrzałam w jej twarz, czułam niemal, że się ze mnie śmieje.

W ciemnym korytarzu łączącym oba budynki pojawiła się jakaś postać. Cathy chwyciła mnie za ramię i pociągnęła szybko na pustą już werandę.

- I co powiedział?

Przedstawiłam jej przebieg naszej krótkiej rozmowy i byłam zaskoczona radością, jaka odmalowała się na jej twarzy.

- Czy nie rozumie pani, Tino - zawołała uszczęśliwiona. - Stevenowi jest przykro! Chciałby to pani jakoś wynagrodzić. Musimy działać, nim wpadnie w inny nastrój.

- O czym właściwie pani mówi?

- Natychmiast pójdę do niego i powiem mu, że poprosiłam panią, żeby była pani przez tydzień naszym gościem. Przekonam go, że przynajmniej tyle powinniśmy dla pani zrobić. Wiem, że się zgodzi.

Wpatrywałam się w nią, widziałam, jak ufność na jej twarzy powoli zamiera i ucieka z niej cała radość.

- Na pewno się zgodzi - powtórzyła bezdzwięcznym głosem. - Ale rozumiem, że może to być pani nie na rękę. Żadna dziewczyna nie zostałaby dobrowolnie w domu, gdzie znajduje się... niebezpieczny człowiek. Pani on nic nie robi, Tino. Chodzi wszak tylko o mnie... Och! Wolałabym, żeby Barry nic pani nie mówił!

- Myli się pani - powiedziałam szybko. - Bardzo chętnie zostanę. Z przyjemnością spędziłabym tutaj parę dni. Jeśli więc pani mąż nie będzie miał nic przeciwko temu, chętnie się zgodzę.

I na tym stanęło. Zaczął się długi, złoty tydzień, a z każdym dniem moja opalenizna ciemniała. Dzięki Bogu nie miałam jasnej, wrażliwej skóry właściwej ludziom rudoblond włosach.

Każda chwila była pogodna i przyjemna. Jeśli Cathy otrzymała nawet następne anonimy, to w każdym razie nie wspomniała o nich. W ogóle nie mówiła nigdy o swoich lękach, a ja wystrzegałam się przypominania jej o nich. Czas płynął spokojnie mimo gorąca. Zawarłam nawet pokój z ciotką Polly, zapewniając ją, że wszyscy moi żonaci bracia i zameżne siostry sprawiają wrażenie zadowolonych ze stanu małżeńskiego i że nigdy nie mieliśmy w rodzinie rozwodów.

Stevena Denisona widywałam rzadko. Pracował intensywnie nad swoją najnowszą książką i niezbyt często jadał z nami posiłki. Przy niewielu okazjach, kiedy opuszczał swój gabinet, był w dobrym humorze i życzliwy dla nas wszystkich. Wciąż jednak gdy rozmawiał z Cathy, jego szare oczy miały czujny wyraz, poza tym zauważyłam, że nigdy się nie śmieją i nie żartują ze sobą. Niemal zabawny potrafił być jedynie w towarzystwie Miriam.

Mimo że postanowiłam uważać Miriam za okropną osobę, po prostu mi się to nie udawało. Była lekkomyślna i może trochę płytka, lecz daleka od zarozumiałości na punkcie swojej naprawdę wyjątkowej urody. I choć potrafiła być czasem kaśliwa, odznaczała się przede wszystkim pogodą ducha. Miała brzydki zwyczaj strojenia do mnie min podczas tyrad ciotki Polly - potem bolały mnie wszystkie mięśnie, bo wciąż musiałam powstrzymywać się od śmiechu.

- Okropnie tutaj nudno - zauważyła któregoś dnia, kiedy byliśmy same.

- Dlaczego więc siedzi pani tutaj?

Popatrzyła na mnie w zamyśleniu i po chwili uśmiechnęła się.

- A jeśli pani powiem, że zostaję tu tylko dlatego, że sypianie ze Stevenem Denisonem sprawia mi frajdę?

Stało się dokładnie to, do czego zmierzała. Byłam zaszokowana i zaczerwieniłam się jak burak.

- Ja... uważałabym...

- Niech pani da spokój - zawołała śmiejąc się. - Nie musi pani tego wypowiadać. Zresztą nic takiego nie ma miejsca. Steven nic sobie ze mnie nie robi. Na razie. Ale mam nadzieję, że w końcu go upoluję.

- I dlatego siedzi pani tutaj? - spytałam drżącym głosem.

- Nie tylko. To także kwestia finansów. Mój ostatni mąż okazał się łotrem. Umieścił anons w gazecie, że nie odpowiada za moje długi. Proszę to sobie wyobrazić! Pewnie dostanę jakąś rolę, kiedy książka Stevena będzie sfilmowana, ale nie nastąpi to tak prędko, a akurat teraz jestem bez grosza. Nienawidzę podłych mężczyzn, pani chyba też? - dodała lekkim tonem.

Zgodziłam się z nią.

- Dlatego też nie znoszę Barry'ego - ciągnęła Miriam. - Kiedy tu przyjechaliśmy, sądziłam, że potrafi być całkiem zabawny. Zaprosiłam go nawet do swego pokoju.

Jej oczy w napięciu wpatrywały się we mnie, że znowu będę przerażona, ale tym razem udało mi się zachować chłód i obojętność.

- Przyjął zaproszenie?

- Ależ nie, moja droga! Zachowywał się niczym oburzona dziewczica. W zasadzie było to całkiem zabawne.

Myślałam już, że zacznie wzywać pomocy albo zemdleje. Zaczerwienił się i wybiegł, jakby go kto gonił, zanim zdążyłam pozbawić go czci.

Jej opis był tak plastyczny, że wybuchnęłam głośnym śmiechem. Potem miałam wyrzuty sumienia względem Barry'ego.

- Ale z tego powodu nie może go pani chyba nazywać podłym?

- O nie! Miałam na myśli przesadne skąpstwo. Małostkowość, gdy chodzi o pieniądze.

- Na mnie właściwie nie zrobił takiego wrażenia.

- To zrozumiałe. Nigdy nie łączy się skąpstwa z mężczyznami wysokiego wzrostu. Kojarzy się je po prostu z małymi, zasuszonymi istotami płci męskiej. W praktyce rzecz wygląda inaczej. Obaj moi mężowie byli olbrzymami pod względem postury i okropnymi skąpcami.

- A Barry? - spytałam zaciekawiona. - Jak objawia się jego skąpstwo?

- Ach, w zwyczajnych drobnych sprawach. Na przykład w tym, że przywiózł panią pociągami zamiast wypożyczyć samochód, co nie nastrecza

żadnych trudności. Steven okropnie się tym zdenerwował. Poza tym fakt, że nigdy nie robi Cathy żadnego prezentu.

- Może uważa, że nie wypada obdarowywać zamężnej kobiety.

- Ostatecznie bawi u niej w gościach, a je więcej niż my wszyscy razem. A przecież nie jest wcale biedny. Jakiś czas temu zmarła jego matka, po której odziedziczył całkiem ładną sumkę. Ale on zalicza się do tych, co siedzą na pieniądzach i ciągle je liczą. Nie chciał nawet pożyczyć mi dwustu funtów.

- Poprosiła go pani o pożyczkę?

- Naturalnie. Wiedziałam wprawdzie, że w każdej chwili mogę dostać pieniądze od Stevena, ale wspomagał mnie już tak często, że nie chciałam wykorzystywać jego dobroci. Dlatego zwróciłam się do Barry'ego. Chodziło przecież o pożyczkę, nic więcej. Ale chłoptaś nie spisał się. Zaczął coś bredzić, że w myśl dawnej maksymy nie powinno się pożyczać pieniędzy przyjaciołom, których się nie chce stracić. Zwróciłam mu uwagę, że na dobrą sprawę nie można nas nazwać przyjaciółmi, a więc nie ma nic do stracenia. A ten obrzydliwiec na to, że przeciwnie, ma bardzo wiele do stracenia, a mianowicie swoje dwieście funtów.

Znowu musiałam się roześmiać i uświadomiłam sobie, dlaczego Miriam nie lubi Barry'ego. Mnie osobiście się podobał i nie wierzyłam nawet przez chwilę, że naprawdę jest skąpy.

Nadszedł ostatni dzień mojego urlopu. Bilet lotniczy miałam już zarezerwowany, lecz usilnie starałam się nie myśleć o powrocie. Czułam przytłaczający niemal smutek zdając sobie sprawę, że muszę wyrzec się całego tego piękna, które mnie otaczało i nazywało się Bartessa. Mimo to miałam wrażenie, że moje serce nigdy nie opuści tego miejsca, nawet jeśli jutro wywiezie mnie stąd samochód.

W minionym tygodniu kąpaliśmy się bardzo często, i musiałam się wstydzić, gdyż tak naprawdę nie umiałam pływać.

Ostatniego dnia mojego pobytu postanowiliśmy, że nie będziemy pływać, tylko żeglować. Guglielmo naprawił silnik zaburtowy starej łódki Stevena, więc Barry, Cathy i ja chcieliśmy się wybrać na przejażdżkę. Tuż przed wyruszeniem w drogę Barry dostał wiadomość od Guglielma, że ukradziono z garażu jego skuter. Barry sapiąc z wściekłości pobiegł natychmiast do niego zasięgnąć informacji. Cathy i ja musiałyśmy zatem wybrać się bez niego.

Schodząc po stromym zboczach, śmiałyśmy się i gawędziły. W niebieskich płóciennych spodniach i powiewnej białej bluzce Cathy wyglądała jak

uczennica. Jej brązowe włosy rozsypywały się na lekkim wietrze, a oczy błyszczały z podniecenia. Patrząc na jej twarz podziwiałam niesamowitą radość życia, jaka tkwiła w tej delikatnej istocie. Niemal boleśnie odczułam pragnienie, żeby stał się cud i oboje ze Stevenem odnaleźli miłość, którą stracili.

W drodze do małej zatoki śmiałyśmy się i podśpiewywały. Na szczęście nie przeczuwałam, że nasz powrót rozegra się w zupełnie innym nastroju. I że naszym krokom nie będą towarzyszyć radosne śmiechy i śpiew.

Rozdział czwarty

- Cieszę się, że jesteśmy same - wyznała Cathy, kiedy śmiejąc się zjechałyśmy po obrośniętej mchem gładkiej półce skalnej. - Wiem, że to głupie, ale z panią czuję się absolutnie odprężona i bezpieczna. Nawet Barry emu nie mogę tak naprawdę zaufać.

- Jestem przekonana, że Barry jest nieszkodliwy - rzekłam szybko. - To taki uroczy człowiek. Jaki powód miałby pani kuzyn...

- Nie jest moim kuzynem - przerwała mi natychmiast. - Jego babka i mój dziadek byli rodzeństwem. Jak już mówiłam, dowiedziałam się o jego istnieniu zaledwie parę miesięcy temu.

W połowie drogi zrobiłyśmy sobie przerwę dla odpoczynku. Przy okazji rzuciłam okiem na willę w górze i zauważyłam, że Miriam dalej stoi na werandzie. Oświadczyła, że nienawidzi żeglowania i za każdym razem cierpi na chorobę morską. Dlatego pomachałam jej teraz wesoło, lecz z miejsca zawstydziałam się, ujrawszy wyraz twarzy Cathy. Zrozumiałam, że musi nienawidzić Miriam, która nie starała się nawet ukrywać swoich uczuć do Stevena. Chcąc ukryć zmieszanie, czym prędzej podjęłam konwersację.

- Czemu w ogóle Barry jest tutaj? Czyżby nie pracował?

- Jest inżynierem. Dawniej pracował w fabryce silników. Kiedy jego matka zachorowała, rzucił pracę, żeby ją pielęgnować. Zmarła dwa tygodnie przed naszym wyjazdem do Bartessy. Po jej śmierci omal się nie załamał. Wie pani, jak to jest - jednak i tak dalej - i podobnie jak ja bez żadnych krewnych, z wyjątkiem ciotki Polly.

- Kiedy dowiedziała się pani po raz pierwszy o jego istnieniu?

- Na początku roku. Wynajęłam w tym celu prywatnego detektywa. Steven i ja rozstaliśmy się. Przez cały rok żyliśmy osobno. Grałam wtedy z powodzeniem na pewnej dużej scenie, lecz czułam się samotna. Chciałam się dowiedzieć, czy jest ktoś jakoś ze mną związany. - Zerwała rozkwitłą różę i wetknęła ją w dziurkę od guzika swojej bluzki. - Przy tej okazji poznałam dzieje własnego życia. Rodzice mojego ojca zmarli wcześniej jedno po drugim, i wychowywała go ciotka Polly. Ożenił się z pewną niemiecką aktorką. Ciotka Polly przepowiadała katastrofę, i tym razem faktycznie miała rację. Moja matka rozwiodła się, a ojciec się zastrzelił. Przyszłam na świat, kiedy znalazła się z powrotem w Niemczech, lecz ciotka Polly nic o tym nie wiedziała. W rok później matka zginęła w wypadku samochodowym.

Przypuszczam, że ciotka uznała, iż dobrze jej tak, bo nie zasłużyła na lepszy los.

- Może wyjaśnia to w jakimś sensie niechęć, z jaką ciotka odnosi się do rozwodów - zauważyłam.

- Bardzo możliwe. - Jej zainteresowanie tym tematem wydawało się wyczerpane i zerwała się na nogi. W następnej chwili jednak jęknęła przerażona. - Powinnam była to przewidzieć! Nikolaus Herder spostrzegł panią i zbliża się do nas. Założę się o cały swój majątek, że będzie chciał panią namalować. Pani wspaniałe włosy muszą być dla niego wyzwaniem!

Odwróciwszy się ujrzałam małego, nie ogolonego mężczyznę, który zbliżał się do nas szybkim krokiem. A więc to był artysta, który stworzył „Portret dziewczyny”! Chudy, niechlujny człowiek o bladoniebieskich niespokojnych oczach. Miał na sobie wyblakłe spodnie i podartą koszulę.

- Halo, Cathy. Dawno już u nas nie byłaś.

Z twarzy Cathy zniknęła radość, wydawała się wręcz niespokojna.

- Zajrzę do was jutro - rzekła spiesznie. - Zamierzałam i tak was odwiedzić, żeby zaprosić ciebie i Francescę na moje przyjęcie urodzinowe. Odbędzie się w przyszłym tygodniu, w czwartek.

- Ja przyjdę. Co się zaś tyczy Franceski, nie mogę nic obiecać. Wiesz, jak to z nią jest. - Ostatnie słowa wypowiedział dziwnym tonem i rzucił okiem na kobietę stojącą parę kroków za nim.

Żona Herdera nie starała się nawet do nas zbliżyć, tylko stała nieruchomo przyciskając do siebie małą dziewczynkę. Francesca była w zaawansowanej ciąży, twarz miała opaloną, a włosy kruczoczarne. Uśmiechnęłam się do niej niepewnie, lecz uśmiech zamarł na moich wargach ustępując miejsca lodowatemu przerażeniu.

Wpatrywała się w Cathy, a nienawiść w jej oczach była wręcz odpychająca. Płomienna, dzika, niemal zwierzęca nienawiść. Formalnie słyszałam, jak Cathy wstrzymuje oddech i mimo woli cofa się kilka kroków. Nikolaus Herder uśmiechnął się, i jego uśmiech również był odpychający. Spojrzał na żonę i zawołał od niechcienia:

- Non vada in collera.

Francesca zignorowała rozkaz męża, żeby się nie wściekała. Raz jeszcze popatrzyła na Cathy jadowitym wzrokiem, odwróciła się i ciągnąc za sobą dziecko weszła do domu.

Wkrótce potem ruszyliśmy w dalszą drogę, lecz szłyśmy stateczniej, nasz dobry nastrój gdzieś się ulotnił.

- Od razu wiedziałam, że Nick będzie chciał panią namalować. Szkoda, że nie może pani zostać dłużej. Może pozowanie byłoby całkiem zabawne.

- Cathy. - Nagle zatrzymałam się. - Cathy, dlaczego Francesca patrzyła na panią z taką nienawiścią?

- Nie wtem. Naprawdę nie wiem.

Wydawała się zmieszana, po raz pierwszy od naszego poznania czułam, że nie mówi prawdy.

Z boku małej plaży, u stóp góry, znajdowała się tak zwana piazza, jeśli w ogóle można tak określić mały wybrukowany plac, otoczony z dwóch stron kawiarniami. Dwaj rybacy, łatający sieci koloru miedzi, zerwali się ochoczo na nogi, by odepchnąć od pomostu starą łódź Steve na.

Silnik zaśpiewał, łódź pomknęła na szerokie morze zmieniając niebieską wodę, która nas otaczała, w białą, mleczną pianę. Cathy i ja siedziałyśmy naprzeciwko siebie, i kiedy na chwilę się odwróciła, szybko uniosłam rękę na wypadek, gdyby Miriam obserwowała nas dalej przez lornetkę. Cathy jednak zauważyła ten gest. a jej orzechowe oczy wyrażały niemy wyrzut.

- Lubi pani Miriam - rzekła ze smutkiem.

- Nie... nie jestem jeszcze całkiem pewna - wyjąkałam. - To dziwna dziewczyna.

- Próbuje rozbić nasze małżeństwo - powiedziała Cathy. - Akurat teraz, kiedy robię wszystko, żeby je uratować.

Nie miałam ochoty na rozmowy. Przede wszystkim na tak męczące i drażliwe tematy. Cathy wydawała się jednak w nastroju do zwierzeń.

Zaczęła opowiadać - jak to po długim roku samotności wróciła do Stevena i poprosiła go, by dał ich małżeństwu jeszcze jedną szansę. Spełnił jej życzenie, ale gdy spędzili razem noc, zmienił zdanie i odesłał ją.

- Pojechałam do Barry'ego. Ale on tak był zajęty swoją chorą matką, że w ogóle mnie nie potrzebował. Udałam się do ciotki Polly i znalazłam wreszcie kogoś, komu mogłam być przydatna. To cudowne, Tino, czuć się potrzebnym. Ciotka była chora, miała zapalenie płuc, i sądzę, że chyba by umarła, gdybyśmy razem z Betty nie przybyły w porę.

- Betty? - spytałam otwierając oczy, które zmrużyłam w słońcu.

- Moja pokojówka Betty. Dziewczyna, która usługuje do stołu. Właściwie nie jest też pokojówką, tylko teatralną garderobianą. Znamy się z czasów sierocińca. Drogie biedactwo kradło wtedy, żeby mi robić prezenty. Nie jest może zbyt inteligentna, ale działa na mnie bardzo uspokajająco. - Odwróciła

się, żeby przestawić coś w silniku. - Nie powinniśmy wypływać dalej. Zostańmy tutaj chwilę. Jest tak spokojnie.

- Jak w niebie - zgodziłam się z nią.

Bartessa leżała malowniczo przytulona do góry, nie większa niż wioska z klocków, a ludzie przypominali z wyglądu mrówki. Na morzu byliśmy same, żadnej łodzi w zasięgu wzroku.

- Ciotka Polly mieszkała w przestronnym, bardzo starym domu. Zajmowała tylko jeden pokój na drugim piętrze. Przeniosła się tam, żeby uciec przed szczurami.

Z obrzydzenia niemal zakrztusiłam się śliną. Nie mogłam się doczekać, kiedy Cathy przestanie wyciągać na światło dzienne brzydkie rzeczy z przeszłości.

- Kiedy dom płonął, szczury rozbiegły się na wszystkie strony.

- Na miłość boską, Cathy, niech pani przestanie. - Usiadłam nagle. - Proszę już o tym nie myśleć.

- Nie mogę - odparła cicho. - Widzi pani. Tino. opowiedziałam już pani tyle o sobie. Zanim pani wyjedzie, chciałabym, żeby pani poznała mnie taką, jaka naprawdę jestem.

Na jej twarzy malował się ból, i westchnęłam na myśl o tym, że nawet tu, na morzu, Cathy nie potrafi zapomnieć o swej udreće.

- Kiedy zaczęło się palić, wybiegłam z domu, żeby ratować życie. Stała już tam Betty. Zapomniałam, że ciężko chora ciotka Polly została w łóżku.

- Każdemu mogłoby się to zdarzyć zapewniłam szybko. - W takiej sytuacji ludzki rozum bardzo łatwo zawodzi.

- Po prostu stałam i patrzyłam, jak płomienie obejmują dom. Buchały w niebo, które przybrało krwistoczerwoną barwę. A w środku była ciotka Polly.

- Ktoś jednak wyniósł ją z płonącego budynku. Jej następne słowa zaskoczyły mnie trochę.

- Uratowałam się. Nagle zrozumiałam, co zrobiłam. Kilku mężczyzn usiłowało mnie powstrzymać, lecz udało mi się jakoś dostać do domu i zwlec starszą damę po schodach. Dopóki żyję, nie zapomnę, że pozwoliłam niemal jej się spalić.

Woda uderzała o burty łodzi, i zastanawiałam się, czy tak mi się tylko wydaje, czy też kałuża, jaką zauważyłam u swoich stóp, rzeczywiście się powiększyła. Chciałam zwrócić na to uwagę, lecz Cathy mówiła już dalej, a jej następne słowa sprawiły, że całkiem umilkłam.

- Po tym pożarze uświadomiłam sobie, że spodziewam się dziecka Stevena. Ciotka Polly wyłudowała w sanatorium, a ja natychmiast pojechałam do swojego męża. Ze względu na dobro dziecka byłam zdecydowana podjąć jeszcze jedną próbę uratowania naszego małżeństwa. Steven zawsze chciał mieć syna, ale szybko się przekonałam, że nie chce go mieć ze mną. Zapytał mnie nawet, czy nie mogłabym się jakoś pozbyć tego dziecka.

Wyprostowałam się sztywno, a sympatia, jaką w ostatnich dniach powzięłam do Stevena Denisona, ulotniła się w jednej chwili. Osłupiałym wzrokiem wpatrywałam się w Cathy.

- W końcu oświadczył gotowość do pewnych ustępstw. Mogłam wrócić do niego, by czekać na urodzenie dziecka. Żeby być zupełnie pewnym, że nie zostanę dłużej, niż sobie tego życzy, zaprosił już Miriam Osten. Obiecałam, że zgodzę się na to, jeśli pozwoli mi zabrać ze sobą ciotkę Polly. Ostatecznie odpowiadałam teraz za starszą damę.

- A Barry?

- W większym lub mniejszym stopniu sam się wprosił. Czuł się bardzo samotny i nieszczęśliwy. Poprosiłam Stevena, żeby pozwolił mu tutaj spędzić urlop przed powrotem do pracy.

- Rozumiem. - Zimna woda oblała moje kostki, więc podciągnęłam nogi. - Łódź jest chyba w porządku? - spytałam wystraszona. - Wygląda na to, że do środka dostało się sporo wody.

Obojętnym wzrokiem popatrzyła na dno łodzi.

- Kropelka wody nam nie zaszkodzi - zauważyła. - Powinna pani przeżyć kiedyś wysoką falę. Nieraz bywałam przemoczona do suchej nitki. - Spojrzałam ponad burtą na niebieską wodę, na bezdenną głębinę pod nami, i zadrżałam. - Tino, najdroższa, pani się boi! Łódź jest absolutnie w porządku, zapewniam panią. Możemy rzecz jasna, jeśli pani woli. podpłynąć bliżej do brzegu.

- Przepraszam za moje idiotyczne zachowanie, ale jestem chyba trochę zdenerwowana. Gdybym umiała pływać, nie miałoby to dla mnie takiego znaczenia.

- Szkoda, że nie może pani zostać dłużej. Barry stwierdził, że jeszcze kilka jego lekcji, a nauczyłaby się pani pływać.

- Zadał sobie wiele trudu - powiedziałam. -

A wszystko dlatego, że tak się boję wody. Utonięcie zawsze uważałam za najgorszy rodzaj śmierci.

- Jeszcze jeden powód przemawiający za tym, żeby nauczyć się pływać. - W głosie Cathy pobrzmiewało roztargnienie, gdyż zajmowała się równocześnie silnikiem. - Diabli wiedzą, co Guglielmo zrobił z tym silnikiem - zawołała zniecierpliwiona. - Przeważnie startuje jak rakietę.

Kiedy ją obserwowałam, moja obawa rosła. Najwidoczniej zaczęła się złościć, przypuszczałam również, że z wolna ponoszą ją nerwy. Twarz poczerwieniała jej z wysiłku. Wstrzymałam oddech i czekałam na uspokajający warkot silnika.

- Nie ma sensu. - Nagle odwróciła się do mnie, na jej twarzy malowały się wyraźnie bezradność i gniew. - Przeklęty łajdak nie naprawił silnika jak trzeba. Już kiedyś to się zdarzyło. Żadnego poczucia odpowiedzialności!

- Co... co teraz zrobimy? - Przed chwilą widziałam w oddali jakąś łódź rybacką, ale teraz zniknęła, i byliśmy zupełnie sami. Nigdy dotąd nie czułam się taka bezradna.

- Nie ma obawy, Tino - uspokajała mnie Cathy. - Na pewno pojawi się w pobliżu jakaś łódź, której będziemy mogły dać znak. Przysięgam, że nic się pani nie stanie. - Usiadła i spojrzała na mnie z ° współczuciem. - Jest pani blada jak ściana. Obawiam się, że nasza przejażdżka nie będzie oszałamiającym sukcesem. Ale wygarnę temu draniowi, co o nim myślę. Będziemy musiały pogodzić się z odnotowaniem, choć taka postawa jest bardzo niesportowa.

Jej spokój przeniósł się na mnie, poczułam, jak napięcie ustępuje. Woda w łodzi nie będzie się podnosić, pozostało tylko uzbroić się w cierpliwość, Usiadłam wygodnie i nastawiłam się na czekanie.

- O czym mówiłyśmy przed chwilą? - spytała Cathy, zdecydowana chyba za wszelką cenę odwrócić moje myśli od grobu w głębinach. - Ach tak! O moim dziecku.

- Nigdy w życiu nie pomyślałabym, że może pani być w ciąży - odparłam. - Moje siostry, kiedy spodziewały się dziecka, były zawsze okrągłutkie.

- I ja też będę. To dopiero sam początek ciąży. - Cień przemknął po jej twarzy. - A gdy już będę gruba i brzydka, Steven będzie mnie nienawidził jeszcze bardziej niż do tej pory.

- Nie sądzę, żeby pani nienawidził. Nie potrafi tego.

- Moim zdaniem wyczuwa pani bardzo dobrze, że tak jest - odrzekła z goryczą. - Nienawidzi mnie tak samo jak dziecka, które noszę pod sercem. Wie, że nasze drogi rozejdą się kiedyś, a dziecko będzie wtedy tylko powodem do kłopotliwych pytań. - Popatrzyła nade mną w błękitny

przestwór, jej twarz wydawała się wąska i blada. - Sądzę, że Steven najchętniej widziałby mnie w grobie. Mnie i nasze dziecko.

Spojrzałam na nią przerażonym wzrokiem.

- Cathy! Nie wolno pani tak mówić!

- Nie, rzeczywiście mi nie wolno - odparła. - Mogę tak myśleć, ale nie powinnam tego mówić.

Zamilkłyśmy obie. Rozejrzałam się na boki po wodnej pustyni. Jak okiem sięgnąć, żadnej łodzi. Wydawało się niemal, jakby nagle zamarło całe życie. Spuściłam oczy, i ciało moje przeszło gwałtowny wstrząs. Czyżby poziom wody się podniósł? Czy tak mi się tylko wydawało? Odwróciłam się usiłując skupić się wyłącznie na opowieści Cathy.

- Steven i ja byliśmy kiedyś bardzo szczęśliwi ze sobą. Ale to było dawno temu. Potem nagle stwierdził, że ożenił się z niewłaściwą dziewczyną. Twarz była niby właściwa, uśmiech też, ale na tym koniec.

- Jak mam to rozumieć?

- Steven ożenił się z „Portretem dziewczyny” - wyjaśniła. - Zanim się poznaliśmy, żył już z tym obrazem dwa lata. Wyposażył ten idealny obraz we wszelkie dobre przymioty, jakie tylko potrafił wymyślić. Portret stał się po prostu jego idolem. Kiedy mnie spotkał, sądził, że jego ideał obudził się do życia. Ale ja nie jestem ideałem, Tino. Jestem po prostu człowiekiem z wszelkimi ludzkimi słabościami. Rozczarowanie okazało się ponad jego siły. Nigdy mi nie przebaczył.

Część mojego mózgu rejestrowała automatycznie jej słowa, lecz nie ogarniałam ich sensu. Moje przerażenie rosło z każdą sekundą, kiedy wpatrywałam się w swoje nogi. Woda w łodzi podnosiła się. Nie miałam już wątpliwości.

- Dobry Boże, co tu się dzieje? - zawołała nagle Cathy. Również ona zauważyła chyba teraz, że coś jest nie w porządku. Podwinięte nogawki spodni miała już mokre, a nim wypowiedziała to pytanie, woda sięgała jej do kolan. - Musimy ją wylewać, Tino! Niech pani próbuje robić to co ja!

Zaczęła rozpaczliwie wylewać wodę rękami. Poszłam za jej przykładem, ale woda przeciekała mi przez palce. Przez cały czas czułam, że nasze wysiłki nie mają sensu. Woda wdzierała się już niepowstrzymanym strumieniem, diabli wiedzą, którądy.

- Łódź zatonie, Tino. Nie uratujemy jej - zawołała Cathy drżącym, wystraszonym głosem, lecz nawet na chwilę nie przestała wylewać wody. -

Jeśli nie wysiadziemy, łódź idąc na dno wciągnie nas w głębinę. Proszę wskoczyć do wody, możliwie jak najdalej, to będzie pani bezpieczna.

Jak jednak, właściwie nie umiając pływać, mogłam zaryzykować ten skok?... Czyżby Cathy zapomniała o tym fakcie?... Tak chyba było, gdyż nagle wskoczyła do wody jak ryba i głośno domagała się ode mnie, bym zrobiła to samo. Siedziałam dalej nieruchomo. Serce podchodziło mi do gardła, potrafiłam tylko bezgłośnie się modlić. Może zdarzy się cud, i łódź nie zatoni.

- Tino! Na miłość boską, proszę się pośpieszyć! Głos Cathy odbijając się echem rozchodził się ponad powierzchnią wody. Wtem, z prędkością, od której dech mi zapało, łódź przechyliła się bezszelestnie na bok i zniknęła, jakby jakaś niewidzialna ręka wyciągnęła ją spode mnie. Kiedy woda zamknęła się nad moją głową, zaczęłam bronić się jak szalona. W następnej chwili poczułam, jak wciąga mnie w dół w potworne odmetry.

Teraz wiedziałam już, dlaczego zawsze bałam się wody... To było przecucie własnego losu... Utonięcie - z pewnością jeden z najokropniejszych rodzajów śmierci. Moje płuca napęśniały się wodą, a głowa zdawała się pękać, mimo to czułam w sobie ogromną siłę, którą zrodził strach.

Nagle czyjeś ręce chwyciły mnie za głowę i wyciągnęły na powierzchnię. Głos Cathy, ostry i rozgniewany, dobiegał jakby z bardzo daleka.

- Tino, niech pani przestanie się bronić! Do cholery, niech pani wreszcie przestanie!

Czułam się trochę urażona jej szorstkim tonem. Przypuszczalnie jednak posłuchałam jej, gdyż jej głos natychmiast złagodniał.

- Proszę się rozluźnić, Tino. Niech woda sama panią unosi.

Wargi miałam spuchnięte, lecz zdołałam wykrztusić kilka słów.

- Niech pani mnie zostawi... Nie ma potrzeby, żebyśmy obie utonęły.

Leżałam na plecach, a Cathy ciągnęła mnie po wodzie.

- Zamknij buzię, kochanie. Obiecuję ci, że się nie utopisz. Tak samo jak ja.

Potem nagle wszystko się skończyło. Niebo w górze pociemniało, dzwonienie w uszach nasiliło się i przeszło w ogłuszające crescendo. Przestałam cokolwiek odczuwać.

Później do mojej świadomości dotarły jakieś podniecone głosy, włoskie słowa przebiły otaczający mnie gruby mur milczenia. Unosiłam się gdzieś między niebem a ziemią.

Potem pochyliła się nade mną jakaś twarz. Była bardzo blisko. Ciemna, poważna twarz z wykrzywionymi ustami. Im dłużej jednak patrzyłam, tym bardziej się zmieniała. W oczach malowało się współczucie, usta złagodniały i uśmiechnęły się.

- Niech pani nie próbuje mówić, Tino. Proszę zamknąć z powrotem oczy, moja droga.

Zrobiłam, jak mi polecono, i pogrążyłam się w dziwnym świecie podświadomości.

- Zaraz będziemy na miejscu, kochanie. - Głos, który wypowiedział te słowa, był zdyszany, ale bardzo życzliwy. - Proszę nie płakać. Proszę, Tino, niech pani nie płacze. Już nic nie może się pani zdarzyć. Jest pani bezpieczna.

Rozdział piąty

Światło słoneczne wlewało się przez szpary w różowych żaluzjach. Trochę oszołomiona zmrużyłam oczy. Nie próbowałam się poruszyć. Całe ciało miałam obolałe, byłam śmiertelnie zmęczona, więc leżałam tylko i obserwowałam grę światła i cieni.

Słońce wskazywało, że jest rano, choć nie przypomiinałam sobie, żeby była noc. Ostrożnie próbowałam przywołać na pamięć straszliwe wydarzenia poprzedniego dnia.

Usłyszałam, że drzwi otwierają się, i odwróciwszy głowę, spostrzegłam Miriam, która weszła na palcach do pokoju.

- Halo, mała. Spała pani dobrze?

- Jak się czuje Cathy? - spytałam, zamiast odpowiedzieć.

- Zważywszy na okoliczności, całkiem dobrze. Wczoraj jakoś się trzymała, lecz dziś rano załamała się. Lekarz uważa, że to szok z opóźnieniem.

- Uratowała mi życie. Wie pani o tym, Miriam? Z powagą skinęła głową.

- Obserwowałam wszystko przez lornetkę. - Zamknęła oczy i wzdrygnęła się. - Nie mogłam nic zrobić, żeby wam pomóc. Dlatego zawołałam Stevena, który popędził w dół jak na skrzydłach. Był na przystani dużo wcześniej niż Barry i ja.

- Kto nas wyciągnął z wody?

- Rybacy z Ancony. Do tego czasu zdążyła pani wypić pół Adriatyku, a Cathy była u kresu sił. Ale w łodzi próbowała jeszcze panią reanimować. Trzeba jej to przyznać. Dziewczyna ma zdrowie.

Zamknęłam oczy i wydałam długie, westchnienie. Ogarnął mnie potworny strach. Czy Cathy naprawdę nic się nie stało? Czy Miriam wiedziała, że Cathy jest w ciąży? Musiałam się także dowiedzieć, jak się dostałam na górę. Czyje ramiona dźwigały mnie nie kończącą się, stromą ścieżką, czyj głos przemawiał do mnie tak łagodnie?

- Czy to Barry zaniósł mnie do willi?

- Barry pomagał Cathy. Panią niósł Steven.

- Steven!

Wydawało mi się, że domyślałam się tego w głębi serca, mimo to byłam zaskoczona i zmieszana.

- Jest pani jeszcze całkiem zaspana. Lekarz dał pani jakiś środek uspokajający. Zajrzę później.

Ucieszyłam się, kiedy zostałam sama. Chciałam przemyśleć to i owo. Było tyle rzeczy dotychczas nie wyjaśnionych. Tyle pytań, które mnie intrygowały... Dlaczego?... Dlaczego łódź nagle zaczęła przeciekać?... Dlaczego?

Omam się nie utopiłam. Także Cathy mogła umrzeć. Dla niej był to już trzeci raz. Po raz trzeci spotkała się ze śmiercią. Wyobraziłam to sobie - nie były to piękne obrazy.

Próbowałam się podnieść, lecz czyjeś silne ręce przycisnęły mnie z powrotem do łóżka. Jęknęłam, z wysiłkiem otworzyłam oczy i spojrzałam w poważną twarz Stevena Denisona.

- Spokojnie, Tino, spokojnie. Wszystko w porządku. Miała pani tylko zły sen.

Podniosłam na niego wzrok.

- A dziecko Cathy? - spytałam pełna obaw. Twarz nade mną natychmiast się zmieniła. Usta zacisnęły się, a życzliwość w jego oczach zgasła.

- Cathy uważa, że wszystko w porządku. Musi pani wiedzieć, że moja żona ma dosyć twardą naturę.

Zamknęłam oczy.

- Niełatwo ją zabić.

- Co pani ma na myśli? - Jego głos brzmiał teraz surowo, i czułam się trochę niepewnie, kiedy spojrzałam mu znowu w twarz. Jego oczy wpatrywały się we mnie, zrobił się bardzo blady.

- Powiedziałam tylko, że łatwo mogło się to skończyć naszą śmiercią.

- Musiałybyście być dużo dalej - odparł po chwili. - Ale gdyby nie rybacy z Ancony, nie miałybyście żadnych szans.

Co to było, co słyszałam w jego słowach? Żal! Czyżby żałował, że nie wypłynęliśmy dalej? Że rybacy z Ancony znaleźli się w porę w pobliżu? Patrzyłam na niego zmieszana. Jego twarz była poważna i zamyślona, wzrok nieprzenikniony. Nagle wyraz jego twarzy się zmienił rozjaśniony uśmiechem.

- Nie mówmy już o tych wydarzeniach. Nic się pani nie stało, to najważniejsze. Oddałem już pani bilet lotniczy i zatelegrafowałem do rodziców, że zostanie pani dłużej.

Dopiero w tym momencie przypomniałam sobie, że dziś miałam przecież wyjechać. Steven wstał.

- Dziękuję, że wyniósł mnie pan na górę - powiedziałam. - Pewnie ważyłam co najmniej tonę.

- Może nie aż tyle. - Jego głos był znowu życzliwy, a nawet przekorny. - W rzeczywistości jest pani zatrważająco lekka, Tino. Będziemy musieli panią trochę podtuczyć.

Zanim jeszcze dotarł do drzwi, zasnąłam i przez cały dzień prawie się nie budziłam. Pamiętam tylko, że zajrzał lekarz.

Wieczorem odwiedził mnie Barry. Stał nieśmiało przy łóżku, więc uśmiechnęłam się do niego zachęcająco.

- Co się z panem dzieje? Na pewno widział pan już dziewczynę w łóżku? Na jego twarz wypłynął głęboki rumieniec.

- Prawdę mówiąc, nie - odparł. - Może dlatego, że nie miałem siostry... - Reszta była niezrozumiałym pomrukiem.

- Proszę, niechże pan siada, bo kark mi zesztywnieje.

Rozmawialiśmy niezbyt długo. Kiedy jednak wychodził, byłam podekscytowana i pełna obaw. To, co powiedział Barry, wzmocniło tylko moje podejrzenia, że zatonięcie łodzi to nie był zwyczajny wypadek, lecz starannie przygotowany zamach.

- Wiadomość, żebym poszedł do Guglielma, okazała się fałszywym alarmem - poinformował mnie. - Mój skuter nie został wcale ukradziony, a właściciel garażu nie wiedział nic o liście, który oddano w willi.

- Ma pan jeszcze ten list?

- Niestety, wyrzuciłem go - przyznał posepnie. - Diabli wiedzą, gdzie teraz leży. Policja też chciała go zobaczyć, ale naprawdę nie mam pojęcia, gdzie go szukać.

- Policja?

- Niech to licho! Miałem pani tego nie mówić. Zgłosiłem całą sprawę na policji. Guglielmo przysięga, że łódź była żeglowna, kiedy opuszczała jego warsztat. Poza tym ten list, który miał służyć tylko temu, żeby się mnie pozbyć. Wszystko to cholernie dziwne. Miałem uczucie, że trzeba to zgłosić.

- Co o tym sądzi policja?

- Wygląda na to, że nie traktują tego zbyt poważnie. Po prostu nie potrafię ich przekonać. - Barry wzruszył ramionami i zrobił zniechęconą minę. - Mówią, że łodzie toną dosyć często. Ta była już stara. Ale na szczęście wszystko dobrze się skończyło.

- Opowiedział im pan także o napadzie na Cathy w tym hotelu?

Barry westchnął i skinął głową.

- Policja nie rozumie, dlaczego chcę łączyć napad w jakimś odległym hotelu z zatonięciem łodzi u wybrzeży Bartessy.

- A więc to chyba wszystko, co mógł pan na razie zrobić.
- Owszem. - Barry wyglądał na nieszczęśliwego. - Na razie.

Tej nocy spałam nieszczęśliwie. Następnego ranka wstałam z łóżka, nie czekając na pozwolenie lekarza, i ubrałam się. Potem zapukałam do drzwi Cathy.

Całe pomieszczenie utrzymane było w białej tonacji z wyjątkiem paru bladoniebieskich efektów kolorystycznych. Cathy leżała w łóżku w białej koronkowej koszuli nocnej. Pokojówka Betty była już w trakcie pracy odkurzając meble miotką z barwnych piór.

- Tina! - zawołała Cathy. Wyciągnęła do mnie rękę, a ja pośpieszyłam do jej boku. - Już dobrze, Betty. Na razie możesz odejść. - Uśmiechnęła się do mnie ukradkiem, gdy Betty na koniec przejechała jeszcze miotką po szafie. - Biedna dziewczyna boi się zostawić mnie samą choćby na chwilę. Pocziwa dusza jest mi bardzo oddana.

- Dlaczego boi się zostawiać cię samą? Uśmiech znikł z twarzy Cathy.

- Znowu dostałam jeden z owych listów. Betty znalazła go ścieląc dziś rano moje łóżko. Ktoś musiał się zakraść, kiedy spałam, i wsadzić go pod poduszkę.

Popatrzyłyśmy sobie w oczy bez słowa, po czym Cathy ciągnęła dalej zrezygnowanym tonem:

- Bez przeszkód mógł mnie zabić, byłam przecież zupełnie bezbronna. Nie wiem, dlaczego tego nie zrobił. Może ma mniej ryzykowny plan.

- A ten list - podjęłam. - Czy był takiej samej treści jak wszystkie poprzednie?

Cathy zacisnęła usta.

- Zawierał takie zdanie: „Koty mają dziewięć żyć, czarownica natomiast tylko trzy.” Poza tym napisane było, że wyczerpałam już swój przydział i za następnym razem nie ujdę z życiem.

Podniosłam się szybko.

- Daj mi go. Barry musi go natychmiast zanieść na policję.

- Betty go spaliła - odparła.

Wpatrywałam się w nią nie rozumiejącym wzrokiem, Cathy zaś odwróciła głowę i zagryzała wargi.

- To był taki plugawy, jadowity świstek papieru. Zawierał różne podłe oskarżenia, w większości nieprawdziwe. Ale w jednym było dość prawdy, żeby powstrzymać mnie od pokazywania go policji. Chodziło o coś, co związane jest z moją przeszłością. Coś, co w moim mniemaniu znałam tylko

ja. Nie chciałabym, żeby Steven dowiedział się tego. Nie miej mi tego za złe, Tino, ale wolałabym już o tym nie mówić. Może pewnego dnia wszystko ci opowiem. Wspólne przeżycie bardzo nas zbliżyło.

Powoli usiadłam z powrotem.

- Moim zdaniem większość ludzi ma w swej przeszłości coś, co woli trzymać w tajemnicy. Mimo to, Cathy... nadawca tego listu to niebezpieczny człowiek... Nasza łódź nie zatonała przypadkowo.

- Oczywiście, że nie. To było dla mnie od razu jasne. - I co zamierzasz? - spytałam z naciskiem. - Nie możesz po prostu czekać na następny zamach. Musisz stąd wyjechać, Cathy. To czyste szaleństwo narażać się na takie ryzyko. - Nie odpowiedziała mi, lecz wydawało się, jakby głęboko westchnęła. - Uratowałaś mi życie - ciągnęłam. - Mam wobec ciebie dług wdzięczności i sądzę, że podobnie myślą moi rodzice. Proszę, jedź ze mną.

- Nie byłabym tam bezpieczniejsza niż tutaj - odparła cicho. - Ktoś uważa, że świat bez mnie będzie się miał lepiej, i niezawaha się przed najdalszą nawet podróżą.

- Co jednak zrobisz, Cathy? Nie możesz po prostu czekać na to, że morderca znowu uderzy.

- Nie martw się - odrzekła miękko. - Chcę żyć. Nie będę wychodzić z willi, chyba że w towarzystwie twoim albo Betty. A w nocy będę trzymała pod poduszką to.

Rewolwer był mały, zgrabny, z rękojeścią wysadzaną masą perłową. Wyglądał jak zabawka. Na widok broni w jej ręku ścisnęło mnie w żołądku,

- Powiedziałaś, że będziesz wychodzić z willi jedynie w towarzystwie moim lub Betty. Zapominasz, że nie będę tu wiecznie?

- Rzeczywiście, zapomniałam o tym - przyznała. Odetchnęłam głęboko.

- Cathy... jeśli chciałabyś, żebym została, jeśli Steven nie zgłosi zastrzeżeń... to zostanę.

- Niech Bóg cię za to błogosławi - rzekła. - Musisz wiedzieć, że niczego bardziej nie pragnę. Jestem przekonana, że Steven nie będzie miał nic przeciwko temu.

- W takim razie zostanę - zapewniłam ciepło. Tyle przynajmniej mogłam uczynić dla dziewczyny, która została moją przyjaciółką.

Byłam już przy drzwiach, kiedy przyszło mi do głowy najważniejsze pytanie, o którym niemal zapomniałam.

- A dziecko, Cathy? Wszystko w porządku, prawda?

- Naturalnie - odpowiedziała z cudownym uśmiechem. - Bobas ma równie twardą naturę jak jego matka.

Moje pojawienie się na śniadaniu wzbudziło, jak się zdaje, powszechną radość, podobnie jak wiadomość, że przesunęłam wyjazd.

- Dobra myśl! - zawołał Barry. - Teraz dołożymy już wszystkich starań, żeby nauczyć panią pływać.

Wzdrygnęłam się słysząc jego słowa, jakby dotknęła mnie jakaś zimna dłoń, lecz natychmiast wtrąciła się ciotka Polly.

- Nie ma strachu, moja droga. Nie musi pani obawiać się wody. Nie widzę dla pani żadnego niebezpieczeństwa związanego z wodą.

Miriam mrugnęła do mnie podając ciotce filiżankę.

- A co ze mną? - spytała wyzywająco. - Wciąż przepowiada pani przyszłość tylko Tinie, Czy nie dałoby się też przewidzieć mojej?

- Na panią nigdy nie traciłabym czasu. - Ciotka Polly spojrzała w jej ładną twarz i sapnęła z pogardą. - Kobiety takie jak pani zawsze źle kończą. Jeśli ktoś pani wcześniej nie zastrzeli, zawisnie pani na szubienicy.

Miriam nie odwróciła się dość szybko, by ukryć wyraz swojej twarzy. Mimo że wydawała się odporna na bezpardonowe ataki ciotki Polly, tym razem ta wróżba boleśnie jej dotknęła.

Steven Denison jak zwykle nie wychodził przez cały ranek z małego domku. Na tarasie słyhać było tylko stukot jego maszyny. Cathy bała się mu pewnie powiedzieć, że zgodziłam się zostać, więc obiecałam, że poinformuję go o tym sama.

Na obiedzie też się nie pokazał, wkrótce po posiłku udałam się zatem do niego, żeby mieć to wreszcie za sobą. Zmarszczył czoło, gdy otworzyłam drzwi do jego pokoju. Odsunął książki i podniósł się, żeby mnie powitać.

- Tina! - Jego głos brzmiał życzliwie. - Sądziłem, że leży pani jeszcze w łóżku. Czuje się pani wystarczająco dobrze, by być już na nogach?

- Czuję się cudownie. - Było to oczywiście kłamstwo, gdyż kolana mi drżały, więc usiadłam spiesznie na krześle obok stołu.

- Przypuszczam, że chce pani zasięgnąć informacji o swej podróży powrotnej. Uważam jednak, że kilka dni powinna się pani z tym wstrzymać. Aż będzie pani przekonana, że czuje się całkowicie dobrze. Jest pani jeszcze bardzo blada.

- Nie, nie przyszedłam w sprawie podróży powrotnej. - Urwałam, kiedy pytająco uniósł brew, po czym szybko ciągnęłam dalej: - Cathy chciałaby,

żebym została bez żadnego ograniczenia czasowego, i jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, chętnie zostanę.

Po tych słowach nastąpiła długa, przygniatająca cisza. Zerknęłam ukradkiem na Stevena, który długo zastanawiał się nad odpowiedzią.

- Chciałaby pani zostać?

- Tak.

- Z jakiegoś konkretnego powodu?

- Podoba mi się tutaj... Słońce... kwiaty... morze.

- Morze?

- No cóż... morze... też.

Jego szare oczy zatoneły niemal w moich, miałam uczucie, że potrafi czytać w mej duszy i sercu.

- A dlaczego tak naprawdę chce pani zostać?

- Już panu mówiłam, że...

- Wolę, Tino, żeby powiedziała pani prawdę. Prawdę! Kiedy spróbowałam ją ująć w słowa, w mojej głowie nastąpiła gonitwa myśli, lecz słowa uwięzły mi w gardle.

- Czy to Barry? - zapytał. - Nie chcę uchodzić za ciekawskiego, ale chciałbym to wiedzieć. Czy to przez Barry'ego chciałaby pani tutaj zostać?

- Z Barrym nie ma to nic wspólnego - zapewniłam pośpiesznie. - Chciałabym zostać ze względu na pańską żonę. Cathy przytrafiło się już wiele niepokojących rzeczy - dodałam szybko na widok nowego wyrazu jego oczu. - Obawiam się, że jest w niebezpieczeństwie.

- Myli się pani.

Steven siedział prosto, twarz miał śmiertelnie poważną.

- Cathy jest aktorką i lubi dramatyzować swoje przeżycia. Nie wiem, co wywołało ten syndrom zagrożenia, ale zapewniam panią, że nie byłby to dla pani przekonujący powód do przedłużania swego pobytu tutaj. Wszystko to jakiś zupełny absurd.

- Napad na Cathy w hotelu - czy to był absurd?

- Może absurd to niewłaściwe słowo - odrzekł po namyśle. - "Może lepiej pasowałaby złośliwość. Diabelska złośliwość.

- A zatonięcie łodzi? A otrzymany przez Barry'ego list, który go odwołał? Też tylko diabelska złośliwość?

Podniósł się z wyraźnym zniecierpliwieniem.

- Sprawy tego listu nie potrafię wyjaśnić. Może ktoś pozwolił sobie na kawał. Poza tym łódź była stara. Guglielmo wykonał swoją robotę niedbale i łódź zatonała. Nie ma w tym nic tajemniczego.

- Jest jeszcze coś. - W ten sposób zdradziłam wprawdzie zaufanie Cathy, lecz uważałam, że trzeba to wreszcie powiedzieć. - Pańska żona otrzymuje listy z pogroźkami. Do tej pory cztery.

- A te listy - zapytał niebezpiecznie powoli - gdzie one są?

- Spaliła je. - Popatrzyłam na niego gniewnie. Drażniła mnie drwina w jego oczach. - Zawierały podle oskarżenia. Cathy nie śmiała pokazywać ich nikomu. Ale okropnie się ich bała.

- Moja żona nigdy w życiu niczego się nie bała. Nie ma nawet pojęcia, co to strach.

- Wydaje mi się, że w ogóle nie zna pan swojej żony. Wiem, że moje słowa brzmią bezczelnie - dodałam widząc jego oburzenie.

- One nie tylko brzmią bezczelnie, one są bezczelne. W ostatnich minutach mój gniew przybierał coraz bardziej na sile. Skoczyłam na nogi. Drżałam na całym ciele, ale tym razem nie była to słabość, tylko wściekłość.

- Wyraźnie pan okazuje, że nie kocha pan swojej żony - zawołałam z oburzeniem. - A teraz nie waha się pan nawet przyznać, że jest panu zupełnie obojętne, czy żona znajduje się w niebezpieczeństwie, czy nie. Już trzy razy popełniono zamach na jej życie, a pan po prostu nie przyjmuje tego do wiadomości i się uśmiecha. Jest panu wszystko jedno, czy straci dziecko. Sądzę, że miała rację mówiąc, że cieszyłby się pan, gdyby nie żyła.

Słuchając mego wybuchu pozostał nieporuszony, ale przy ostatnich słowach zerwał się z miejsca, obszedł stół i przyskoczył do mnie. Uniósł rękę i brutalnie pchnął mnie z powrotem na krzesło. Nie panując nad swoim gniewem pochylił się nade mną.

- Cathy się pana boi, ale niech panu się nie wydaje, że dam się zastraszyć - krzyknęłam. Było to oczywiście kłamstwo. Serce podeszło mi do gardła. W tym momencie nie wątpiłam, że Steven Denison mnie zabije. Zmusiłam się do wstania, oceniłam odległość dzielącą mnie od drzwi i zastanawiałam się, czy uda mi się uciec.

Z wahaniem zrobiłam krok, lecz chwycił mnie za ramię i ścisnął tak mocno, że łzy napłynęły mi do oczu. Próbowałam się wyrwać, ale opuściły mnie siły. Pokój pociemniał i nagle wydało mi się, że znowu tonę.

- Cathy wie o tym - powiedziałam. Chciałam te słowa wykrzyczeć, ale zdobyłam się tylko na szept. - Cathy wie, że to pan.

Niewidzialne morze podnosiło się coraz wyżej, i woda zamknęła się nad moją głową. Z trudem chwyciłam powietrze, lecz okrutne ręce nie puszczały mnie. A potem Steven Denison uderzył mnie w głowę z taką siłą, że zmacone zmysły odmówiły mi posłuszeństwa, a wszystko dookoła spowiła czerń.

Powoli otworzyłam oczy i spojrzałam w twarz nad sobą. Próbując się podnieść, z przerażeniem obserwowałam Stevena, który klęczał obok mnie na podłodze podłożywszy mi rękę pod plecy.

- Uderzył mnie pan - wyszeptałam.

- Oczywiście, że pani nie uderzyłem. - Uśmiechnął się, lecz jego oczy pozostały poważne. - Wyrwała mi się pani, a w następnej chwili pani zemdląła. Zanim zdążyłem panią złapać, uderzyła pani głową o podłogę.

Znów spróbowałam się podnieść, ale przytrzymał mnie w żelaznym uścisku. Ponieważ mnie nie wypuszczał, zrezygnowałam i oparłam głowę o jego pierś. Przez cienki materiał sportowej koszuli słyszałam bicie jego serca. Westchnęłam głęboko, przypomniawszy sobie, jak wnosił mnie na górę. Steven dotknął delikatnie policzkiem moich włosów.

- Biedna mała Tina - rzekł cicho. - Jakże źle traktowaliśmy wszyscy panią do tej pory.

Jak długo trwaliśmy w tych dziwnych objęciach, tego nie wiem. Steven pierwszy wykonał ruch i delikatnie pomógł mi usiąść na krześle. Podszedł do stojącej w kącie szafy i przyniósł mi kieliszek wypełniony jakimś złotym płynem.

- Bez gadania, Tino. W tym wypadku to lekarstwo. Napój palił jak ogień, ale po chwili poczułam, jak w moim ciele rozlewa się przyjemne ciepło.

- Za kilka minut ściągnę Miriam. Zaprowadzi panią do łóżka.

- Nie skończyliśmy jeszcze naszej rozmowy - zaoponowałam. - Prawdopodobnie nie będzie można teraz mieć panu za złe, jeśli się pan mnie pozbędzie.

Nasze oczy spotkały się i na długo zatoneły w sobie nawzajem.

- Może pani zostać, Tino. - Jego twarz wyrażała troskę. - Byłoby lepiej, gdyby pani wyjechała, lecz może pani zostać, jeśli takie jest pani życzenie.

- Dziękuję.

- Ale pod jednym warunkiem.

- Jakim?

- Szkoda, żeby pani talenty nie były wykorzystywane. Cathy mówiła mi, że pisze pani bezbłędnie na maszynie i potrafi bardzo szybko stenografować.

Pewnie rozumie też pani trochę po włosku. Skoro już pani zostaje, to najlepiej będzie, jeśli zatrudnię panią jako swoją sekretarkę.

Wpatrywałam się w niego nie ukrywając zaskoczenia.

- Ale powiedział pan przecież... przysięgał pan, że...

- Zmiana przekonań nie jest jedynie przywilejem kobiet. - Moje zmieszanie zdawało się go bawić.

- Dlaczego jednak zmienił pan swoje postanowienie? Jego uśmiech zgasł.

- Jak sama pani już zasugerowała, wydarzyło się parę dziwnych rzeczy. Rzeczy, które mnie martwią. Jeśli już pani zostaje, to wolę mieć panią w swoim gabinecie. Mam przeczucie, że muszę na panią uważać. Dopiero wtedy będę mógł skutecznie panią chronić przed sprawcą tych wszystkich nieszczęść.

Widziałam jego twarz i starałam się czytać w chłodnych, szarych oczach. Jeśli się zgodzę, czy będę wtedy poza zasięgiem - czy też akurat w bezpośrednim pobliżu tego osobnika?

- Więc jak, Tino? - Zajął już dostatecznie dużo jego cennego czasu, zaczynał się niecierpliwić. - Zostaje pani jako moja sekretarka?

- Dobrze - powiedziałam. - Zostaję.

Rozdział szósty

Steven Denison pisał książkę, w której przedstawiał włoskie święta ludowe i ich pochodzenie. Z początku robił to jedynie dla własnej przyjemności, ale potem zainteresował się tym jego wydawca i zawarli umowę. Ponieważ ruszyła już kampania reklamowa, Stevenowi wyznaczono termin, i musieliśmy się naprawdę śpieszyć, żeby skończyć w porę.

Steven się nie oszczędzał, a i nade mną nie miał zmiłowania. Pewnego popołudnia jednak, kiedy od hałasu i upału zaczęło mi się kręcić w głowie, posłał mi długie, badawcze spojrzenie.

- Na miłość boską, Tino! Obiecała mi pani przecież, że da mi pani znać, jeśli za bardzo obciążę panią pracą.

- Nic mi nie jest, zaraz mi przejdzie. - Sukienka lepiła mi się do ciała, które było obolałe z wyczerpania.

- W następnej chwili upadnie pani na podłogę, a potem będzie przysięgać, że to ja panią powaliłem.

Uśmiechnął się do mnie. W ciągu dziesięciu dni, które przepracowaliśmy razem, po raz pierwszy przypomniał ową burzliwą scenę. Zaczerwieniłam się i odwzajemniłam jego uśmiech. Od tamtej pory poznałam bliżej Stevena Denisona. Wiedziałam już, że jest z natury człowiekiem łagodnym i gardzi wszelkiego rodzaju przemocą. Był dokładnie taki, jak wyobrażałam go sobie w swoich marzeniach. Wrażliwy, obdarzony wyobraźnią i czarującym poczuciem humoru.

W dalszym ciągu nie znałam powodów, które doprowadziły do rozłamu pomiędzy nim a jego żoną. Nie należał do mężczyzn, którzy wyplakują się przed innymi. I podobnie nie oskarżał jej ani nie starał się usprawiedliwiać. Nie miał jednak także natury mordercy.

- Czy nie była pani umówiona z Nikolausem Herderem? - zapytał.

Bez entuzjazmu skinęłam głową. Nie miałam ochoty siedzieć nieruchomo i pozować małemu malarzowi do portretu.

O wiele bardziej kuszący wydawał mi się prysznic, a potem sješta, zwłaszcza że za kilka godzin zaczynało się przyjęcie urodzinowe Cathy. Cała impreza miała odbyć się w wielkim stylu, spodziewano się jakiegoś słynnego gościa.

To Wioch, podobno ideał męskiej urody - poinformowała mnie Miriam przymykając oczy w geście udawanej ekstazy, - Cathy odkryła go w Rzymie,

gdzie był. taksówkarzem. Dzięki niej dostał rolę w ostatnim filmie Stevena. Naturalnie uwielbia ją za to.

Ponieważ zawsze traktowałam opowieści Miriam z dużą rezerwą, byłam zdziwiona, kiedy potem zastałam Cathy w stanie wielkiego rozmarzenia i stłumionego podniecenia. Może więc w słowach Miriam było jednak ziarenko prawdy. Niewykluczone, że Cathy faktycznie była w nim trochę zakochana. Kto zresztą robiłby jej z tego powodu wyrzuty. Tak niewiele miłości doświadczała przecież od swego męża.

- Chyba jednak pójdę teraz do Nicka, żeby mieć to za sobą - powiedziałam do Stevena.

- Czemu właściwie pozwala mu pani, żeby panią malował? Jestem przekonany, że nie wynika to z próżności. Prawdopodobnie żal go pani.

- Jeśli zdradzę panu moje motywy, będzie pan tylko zły na mnie.

- Czyżby? - Obrócił się na swoim krześle i pytająco uniósł brwi. - Niech pani spróbuje.

Nie powinnam go drażnić, ale postanowiłam zaryzykować. Musiałam go wreszcie przekonać.

- Chodzę do niego, bo w ten sposób mogę pomóc Cathy. Ktoś próbował ją zabić. Ten ktoś może znowu spróbować. Z początku sądziłam, że to mieszkaniec tego domu, ale teraz uważam inaczej.

Chrząknął w geście protestu, lecz nie zamierzałam zamknąć buzi.

- Nikolaus Herder zna Cathy z dawnych czasów. On jest uprzejmy, ale jego żona to dokładne jego przeciwieństwo. Myślałam, że dzięki nim zdobędę jakąś wskazówkę, która mogłaby nam pomóc.

Oczekiwałam, że teraz ryknie na mnie, lecz Steven pozostał nieponiżony, a gdy wreszcie przemówił, w jego głosie pobrzmiwało znużenie.

- Po raz ostatni, Tino - proszę sobie uzmysłowić jedno. Nie wierzę, że ktoś kiedykolwiek próbował zabić Cathy. Oczywiście ma wrogów, ma ich w końcu każda aktorka, która przebiła się na szczyty. Ale nie sądzę, by groziło jej jakieś niebezpieczeństwo. Chciałbym, żeby zapomniała pani o tej całej absurdalnej historii.

- Ależ, Stevenie. Opowiadałam panu o anonimowych listach. Wczoraj znów dostała. Napisano w nim, żeby cieszyła się swymi urodzinami, bo będą to jej ostatnie.

- Przypuszczam, że i ten list został spalony?

Jego głos ociekał sarkazmem. Nie miałam odwagi spojrzeć mu w twarz, gdyż wiedziałam, że wyczytałabym w nich pogardę.

- Nie. Ten list jeszcze istnieje. Poprosiłam Cathy, żeby go nie niszczyła. Prosiłam ją także, żeby poszła na policję, ale bardzo była zajęta przygotowaniami do przyjęcia.

- I naturalnie uznała przyjęcie za ważniejsze od listu, w którym grożono jej śmiercią.

- Ależ nie. Dlaczego musi pan ciągle wszystko przekreślać? Sądzę, że zrozumiała, że nie miałyby to sensu.

- Przykro mi, Tino, ale nie mam ochoty rozmawiać z panią o mojej żonie - powiedział z naciskiem.

- Od razu mówiłam, że będzie pan zły.

- I miała pani rację. A teraz niech pani biegnie do Nikolausa Herdera i jego biednej żony. Tym razem niech wetknie pani nos w jego sprawy rodzinne. Może uda się pani odkryć trochę brudów. To bardzo rozmowny człowiek. Jestem przekonany, że będzie się pani dobrze bawić.

W pierwszej chwili wszystko się we mnie burzyło, lecz teraz formalnie dygotałam z wściekłości. Skoczyłam na równe nogi, a moje palce zacisnęły się na kałamarzu. Nie sądzę, żebym naprawdę nim rzuciła. Nigdy się tego nie dowiem, gdyż Steven złapał mnie za rękę uniemożliwiając jakikolwiek ruch.

- Małe dziewczynki, które rzucają rzeczami, powinny dostawać Janie - powiedział. - A zapewniam panią, że mam ciężką rękę.

- Proszę mnie puścić.

- Czekam na pani przeprosiny. Tak robią zawsze sekretarki, kiedy rzucają w głowę szefa kałamarzem.

- Ja nie rzuciłam.

Uniosłam wolną rękę i z całej siły, do jakiej byłam zdolna, uderzyłam go w twarz.

Natychmiast puścił moją rękę, a w jego oczach malowało się bezbrzeżne zdumienie. Żadne z nas już się nie odezwało, z przerażeniem obserwowałam, jak jego policzek czerwienieje.

W końcu odwróciłam się i ruszyłam pędem do drzwi, przewracając kosz na papiery, który stał na drodze. Musiałam się śpieszyć, żeby Steven nie widział moich łez.

- Jeszcze tylko pięć minut - powiedział Nick Herder. - Światło zaczyna się zmieniać. Pewnie chce się pani wcześniej przebrać.

Wreszcie pozowanie dobiegło końca. Odłożył pędzel, a ja mogłam rozprostować zdrętwiałe kończyny.

Przeszliśmy do starego szarego domu, gdzie Francesca podała nam wino domowej roboty. Drzwi do małego salonu były otwarte. W pomieszczeniu roiło się od jedwabników, które hodowała Francesca.

- Przyjdzie pani dziś wieczór na urodzinowe przyjęcie Cathy? - zapytałam.

- Ja w żadnym wypadku - odparła gwałtownie. - Nick pójdzie.

- - Francesca woli obserwować fajerwerki - wtrącił Nick. Na te słowa Francesca obróciła się gwałtownie do swego męża, a w jej oczach zapłonęła wściekłość. Podniosła głos i wyrzucała słowa tak szybko, że ze swoją skromną znajomością włoskiego poddałam się już po pierwszym zdaniu. Staralam się ją uspokoić, ale Nick dał mi znak, żebym ją zostawiła w spokoju.

- To przez dziecko - powiedział, kiedy staliśmy już w drzwiach. - Kobiety w ciąży są trochę krewkie i nerwowe. To już niedługo.

Skinęłam głową. Taki powód był zrozumiały.

- Słyszałem, że będzie na przyjęciu Marco Mazzaro. Potwierdziłam to zdziwiona, dlaczego uśmiecha się tak drwiąco.

- Przypuszczalnie Cathy będzie w siódmym niebie - powiedział. - Dawno już nie widziała swego ukochanego Marca.

Steven ostrzegł mnie, że Nick może mi opowiadać różne plotki, w dodatku brudne. Jak zawsze jego ostrzeżenie było uzasadnione. Kurczowo przełknęłam ślinę i popatrzyłam w dół na nie myte nogi Nicka i rozdeptane sandały. Kiedy znów zaczął mówić, podniosłam wzrok, by widzieć jego twarz.

- Cathy nie jest świętą, gdyby przypadkiem pani w to wierzyła. Nikt nie wie tego lepiej niż ja. Jakiś czas temu ktoś próbował ją udusić. Żałowałem, że mu się nie udało. Ale nie wątpię, że pewnego dnia będzie gryźć trawę. I życzę dużo szczęścia temu, kto jej w tym trochę pomoże.

- Skoro pan tak nienawidzi Cathy, dziwię się, że w ogóle wybiera się pan na przyjęcie. Dlaczego razem z żoną nie pójdzie pan oglądać fajerwerków?

- Za nic w świecie nie chciałbym przepuścić tej okazji - mruknął, a w jego uśmiechu było coś, co mi się nie podobało. - Także na przyjęcie Cathy będzie fajerwerk, może być pani pewna.

Uwaga ta przypomniła mi się później z przerażającą jasnością.

Powoli w zamyśleniu wchodziłam pod górę. Zapadała już noc. Nagle znienawidziłam Bartessę i mieszkających w niej ludzi. Zanim weszłam na taras, wciągnęłam głęboko powietrze.

Steven zaopatrywał właśnie gości w napoje. Odwrócił się do mnie plecami, ale gdy inni wywołali moje imię, zauważyłam, że mięśnie jego pleców naprężyły się. Dopiero wtedy odwrócił się do mnie.

Nasze spojrzenia spotkały się nad tarasem. Nagle wydało się, jakby ludzie zniknęli i zostaliśmy tylko we dwoje. Gdzieś w tle słyszałam głosy, lecz nie widziałam nikogo poza Stevenem.

Miał na sobie białą marynarkę smokingową, w której wydawał się jakoś obcy. Wytworny i bardzo spokojny.

Trudno było sobie wyobrazić, że to ten sam człowiek, który kilka godzin temu zupełnie stracił panowanie nad sobą. Mężczyzna, którego widziałam teraz, zawsze będzie panem sytuacji. Tak jak w tym momencie.

- Kieliszek szampana, Tino? Wszyscy tutaj piją szampana, nawet Cathy.

Podszedł do mnie i wcisnął mi do ręki kieliszek. Biorąc od niego kieliszek próbowałam rozszyfrować wyraz jego oczu, lecz nie udało mi się.

- Chodźmy - powiedział. - Cathy nie może się doczekać, żeby przedstawić pani swojego Marca.

W następnej chwili moją dłoń ściska! już młody bóg. Był szeroki w barach, szczupły w biodrach i niewymownie przystojny. Opis Miriam okazał się więc nie przesadzony. Marco Mazzaro naprawdę był ideałem męskiej urody.

Miriam, wciśnięta w złotą suknię, wypróbowywała na nim cały swój czar, niestety bezskutecznie. Jego oczy szukały tylko Cathy. I choć ta odwróciła się do niego plecami i porozmawiała najpierw z Barrym, a potem ze mną, to jednak wciąż posyłała spojrzenia przystojnemu Włochowi. Rysy jej twarzy były miękkie i rozkwitłe jak u kobiety, która kocha.

A więc Nick nie kłamał!

Ustaliliśmy, że będziemy wręczać Cathy prezenty przed uroczystą kolacją. I oto siedziała teraz niczym królowa w fotelu w czerwonej sukni spływającej do ziemi z delikatnie zaróżowionymi policzkami.

Pierwsza wręczyła jej prezent ciotka Polly: perły w zakurczonym etui z czarnego aksamitu. Nie miałam pojęcia, czy są prawdziwe, ale Cathy wydała radosny okrzyk, jakby były nieocenionej wartości.

- Nie są nowe - zauważyła oschle ciotka Polly. - Ale perły nigdy nie tracą swojej wartości.

Potem przyszła kolej na mnie. Od Betty dowiedziałam się nazwy perfum używanych przez Cathy i kazałam sobie kupić flakonik w San Marino.

Kosztował mnie co prawda tygodniową pensję, lecz bez mrugnięcia okiem dałabym i dwa razy tyle.

Następnie zjawił się Barry.

- Odkryłem tę sól do kąpeli o tej samej nazwie co twoje perfumy - wyjaśnił trochę zmieszany.

Usłyszałam wyraźnie stłumiony okrzyk dezaprobaty Miriam, domyślając się, że prezent Barry'ego utwierdził ją tylko w przekonaniu o jego skąpstwie. Ona sama podarowała solenizantce cudowny szal z białej koronki, który Cathy natychmiast zarzuciła na ramiona. Na czerwonej sukience prezentował się nader dekoracyjnie.

Wszyscy patrzyliśmy na Stevena, lecz najwidoczniej nie miał żadnego prezentu, a w każdym razie nie w tym momencie: później bowiem dowiedziałam się od Miriam, że wypisał Cathy hojny czek. Nick Herder zniknął w głębi domu, rozdawanie prezentów nie było z pewnością w jego stylu.

Pozostał tylko Marco. Zbliżył się, złożył Cathy trochę niezgrabny ukłon i wręczył jej małą szkatułkę. Znajdujące się w niej kolczyki były urocze, i Cathy długo pochylała głowę przyglądając się im, kiedy zaś ją podniosła, na jej rzęsach błyszczały łzy.

Spojrzała na Marca z taką czułością, że poczułam się niemal intruzem będąc świadkiem tej sceny. Steven wydawał się podzielać moje wrażenie, gdyż odwrócił się i powiedział, że pora już na kolację, lub coś w tym rodzaju.

Weszłam do jadalni, by sprawdzić, czy wszystko w porządku. Tam dogonił mnie Steven.

- Tino!

W jego głosie słychać było nutę czułości. Wpatrywałam się w jego twarz i zmieszana szukałam w niej jakiegoś znaku.

Nagle uśmiechnął się i wyciągnął obie ręce, a ja podbiegłam do niego z okrzykiem, w którym radość mieszała się z ulgą. Objęcie nie było planowane, prędzej nazwałabym to zderzeniem. W następnej chwili znalazłam się w jego ramionach, przyciśnięta do szczupłego, silnego ciała. Nie trwało to nawet sekundy, szybkie, mocne objęcie, które powiedziało mi, że wszystko zostało przebaczone.

Jego ręce opadły, cofnęłam się o krok i omal nie podskoczyłam, gdy od drzwi dobiegi głos Miriam.

- A więc tak się rzeczy mają! Już nieraz zadawałam sobie pytanie, co robicie przez cały ten czas, kiedy zamykacie się w małym domku. Teraz już wiadomo!

Mimo woli zarumieniłam się mocno. Steven zachował jednak zimną krew. Nawet się roześmiał. Nagle przybrał afektowaną pozę i zawołał dramatycznym tonem

- Och, Tino! Przyłapano nas in flagranti. Jesteśmy w mocy Miriam i pozostaje nam tylko ufać, że okaże łaskę!

- Od oszukanej kobiety nie można tego oczekiwać - odparła Miriam tym samym teatralnym tonem. Zaraz jednak dodała śmiejąc się: - Mam tylko jedno wyjście, muszę zmienić zawód. Sekretarki zawsze mają większe szanse.

- Ależ oczywiście! - odrzekł Steven. - Zmęczeni autorzy potrzebują wyrozumiałej sekretarki tak samo jak zmęczeni magnaci przemysłowi. Tina jest darem niebios.

Kiedy zbliżyli się pozostali, Steven przyjacielskim gestem objął mnie i Miriam. Najwidoczniej potraktował nagłe wtargnięcie Miriam jako dobry żart - byłam zaskoczona jego krótkowzrocznością, gdyż dla Miriam nie było to wcale zabawą. Kiedy siadaliśmy do stołu, dalej wyglądała na zdenerwowaną i zmieszaną.

Honorowe miejsce zajęła Cathy, Marco siedział po jej prawej stronie. Wydawała się szczęśliwsza i bardziej ożywiona niż kiedykolwiek. Była po prostu kobietą, która otwarcie pokazywała, że jest zakochana. Marco trzymał ją pod stołem za rękę. Sądzę, że wszyscy o tym wiedzieli, z wyjątkiem ciotki Polly, która siedziała obok Stevena na drugim końcu stołu i skupiła się na jedzeniu.

Carlotta, kucharka, przeszła samą siebie - wszystkie potrawy, wnoszone przez Betty, były wyśmienite.

Było to dziwne przyjęcie. W pewnej chwili nasunęło mi się na myśl, że to sztuka teatralna i wszyscy siedzimy na scenie. Wiem, że nie tylko ja powitałam koniec posiłku westchnieniem ulgi. Wszyscy wstali od stołu i ruszyli do wyjścia.

Steven, który szedł ostatni, chwycił mnie za rękę i zmusił w ten sposób do pozostania. Uśmiechnął się do mnie.

- Przedtem przeszkodzono nam, zanim miałem okazję przeprosić panią za popołudnie.

- Pan chciał mnie przeprosić? To ja powinnam była to zrobić. Nigdy dotąd nie byłam tak...

Położył mi dłoń na ustach.

- Proszę milczeć, Tino. Potrafi pani mocno uderzyć, ale nie zasłużyłem na nic innego. To ja panią sprowokowałem. Zdenerwowała mnie pani, i dlatego chciałem panią obrazić i zachowałem się wobec pani nieuprzejmie. Proszę o wybaczenie.

Popatrzyłam na niego, a potem omijając go dalej, i serce mi nieomal zamarło, gdy mój wzrok napotkał zimne niebieskie oczy Miriam. Może dalibyście sobie już spokój! wyczytałam w nich, a w następnej chwili Miriam wypowiedziała te słowa.

- Jeśli się nie pośpieszycie, ludzie zauważą, że was nie ma. Nie możemy im przecież dawać powodu do plotek, prawda?

- Naturalnie - zgodził się Steven. - W żadnym wypadku nie możemy im tego zrobić.

Jedną ręką objął mnie, drugą Miriam i tak wprowadził do hallu. I wtedy zobaczyłam ten pakunek. Leżał nieco ukryty za wazonem z kwiatami. Biała paczka średniej wielkości z ogromną niebieską jedwabną kokardą. Oraz napisem CATHY. Steven opuścił rękę, którą mnie obejmował. Spojrzał na paczkę, ale nie dotknął jej.

- Jeszcze jeden prezent dla Cathy! Nie może się uskarżać. Gdybyś zechciała, Miriam, zanieść jej ten pakunek, ja mógłbym w tym czasie zadbać o likiery.

Ale ja trzymałam już paczkę w ręku i to ja zaniiosłam ją Cathy. Pakunek był ciężki, i nagle nasunęło mi się podejrzenie, że może to być prezent od Stevena. Ostatecznie nic jeszcze nie podarował żonie. Może nie odpowiadało mu całe zamieszanie i dlatego położył swój prezent na tym stole, gdzie nie rzucał się w oczy.

Cathy wydała okrzyk zachwytu, kiedy wręczyłam jej paczkę. Była podniecona jak dziecko tym nieoczekiwanym prezentem. Ręce jej drżały, kiedy próbowała rozwiązać wielką kokardę.

- Pralinki! - zawołała. - Ogromne pudełko pralinek z likierem! Ale kto je przysłał? Prawdopodobnie jakiś anioł, który wie, jak za nimi przepadam. A teraz przyznajcie się. Kto jest szlachetnym ofiarodawcą?

Popatrzyliśmy po sobie, ale nikt się nie odezwał.

- W takim razie musi to być Steven - zawołała Cathy. Odrzuciła jedwabny papier i niebieską kokardę i próbowała paznokciami podważyć drewniane wieczko.

- Każdy dostanie po jednej do kawy.

W tym momencie ogarnęło mnie przecucie zbliżającej się katastrofy. Może dlatego, że przez cały wieczór nie opuszczała mnie myśl o liście z pogrózkami, który otrzymała Cathy. Czy pralinki napełnione likierem naprawdę są takie ciężkie?

Cathy w dalszym ciągu pochylała się nad pudełkiem usiłując otworzyć wieczko. Nagle podeszłam do niej.

- Pozwól, że cię wyręcę.

- Nie trzeba, Tino. Prawie już mi się udało. W każdym razie zapakowano je bardzo dobrze.

Cóż mogło być niewinniejszego od pudełka pralinek? Po prostu prezent mężczyzny dla kobiety. Pięknie opakowany. I ta niebieska kokarda! Artystyczne dzieło, zawiązane rękami mordercy.

Rozdział siódmy

- Proszę zostawić to mnie, Cathy - poprosił Marco. - Połamie sobie pani tylko swoje śliczne paznokcie.

Nie chciała mu pozwolić, ale Marco po prostu wyjął jej pudełko z rąk. To, co nastąpiło w chwilę potem, było koszmarem, który przeżywałam potem tysiące razy.

Ogłuszająca eksplozja, od której pękały niemal bębunki w uszach, i która odrzuciła nas, jakbyśmy byli szmacianymi kukłami. Uderzyłam z całej siły o ścianę, i Cathy, która krzyczała...

Potem jednak zobaczyłam, że to nie Cathy, tylko Marco. Zakrywał rękoma twarz i wił się z bólu na podłodze. I przez cały czas krzyczał. Krzyczał bez przerwy.

Poprzewracane krzesła, leżące ciała. Pomieszczenie przypominało pole bitwy. Po jakimś czasie poruszyło się jedno ciało, potem drugie. Rozległy się głosy. Piskliwie głosy, w których brzmiał strach.

Pudełko w dalszym ciągu leżało na podłodze, a z jego wnętrza rozbrzmiewał niesamowity głuchy łoskot. Ze środka wydobywał się duszący, gryzący dym, od którego piekło mnie w gardle.

Nagle w górę buchnął jasny niebieski płomień.

- Co, u diabła...?

W drzwiach pojawił się Steven. Trzymał w rękach srebrną tacę, na której stały kieliszki z likierem. Natychmiast cisnął wszystko i skoczył naprzód.

Ostrożnie złapał pudełko i wyrzucił przez taras do ogrodu. Kiedy dotknęło ziemi, usłyszeliśmy głuchy odgłos. Wkrótce potem w nocne niebo wzbiły się płomienie.

- Ja się tym zajmę. - W głębi pomieszczenia zobaczyłam poszarzałą twarz Barry'ego. - Znam się trochę na bombach.

Steven zaczął deptać języki ognia na dywanie. Opierając się o ścianę patrzyłam na niego. Byłam zupełnie oszołomiona, niezdolna zebrać myśli. Steven rozejrzał się szybko, a spostrzegłszy mnie, krzyknął:

- Niech pani nie stoi beczynnienie! Niech pani wyprowadzi ciotkę Polly, zanim zatruje się dymem.

Jego głos podziałał ożywczo na nas wszystkich. Pojawiła się Miriam, i obie starałyśmy się pomóc starszej damie, która leżała nieruchomo na podłodze. Kaszląc i z trudem łapiąc powietrze zaczęłyśmy ją wlec w kierunku drzwi.

Steven skupił teraz uwagę na Włochu, którego krzyki umilkły, lecz w dalszym ciągu klęczał zasłaniając twarz rękami, jęczał i płakał.

- Musisz mi pomóc, Cathy - poprosił Steven. Ale ona nie była w stanie pomóc komukolwiek. Siła detonacji wyrzuciła ją z fotela. Po jej prawej powiece ciekła krew. Krew mieszała się z łzami bezbrzeżnej rozpacz i spływała po policzkach.

Nikolaus Herder był jak dotąd jedyną osobą pozbawioną zajęcia. W momencie eksplozji stał przy drzwiach prowadzących na taras i wyglądało na to, że nie odniósł żadnych obrażeń. Oczy mu łzawiły od gęstego dymu i trujących oparów, drżał na całym ciele. Teraz zbliżył się, by pomóc Stevenowi.

Z ogrodu wrócił Barry. Twarz miał czarną od sadzy.

- Trzeba odwieźć Marca do szpitala. - Głos Stevena brzmiał zdecydowanie jak zawsze. Barry dotarł już do drzwi, gdy Steven raz jeszcze zabrał głos. - Nie zapomnij o policji. Niech natychmiast kogoś tutaj przyślą.

Razem z Nickiem zanieśli Marca do jednej z sypialni. Włoch w dalszym ciągu szlochał zakrywając twarz rękami. Nie chciał ich opuścić. Z przerażeniem ujrzałam, że spomiędzy palców kapie krew.

Cathy wyszła za mężczyznami. Była zupełnie oszołomiona, łzy ciekły jej bez przerwy po policzkach. Po paru minutach wrócił Steven.

- Niechże pani spróbuje oderwać Cathy od Marca. Pośpieszyłam spełnić jego polecenie. Z początku Cathy wzbraniała się zostawić Marca, gdy jednak Steven w przypiływie ślepego gniewu krzyknął na nią, nagle poddała się i pozwoliła się wyprowadzić z pomieszczenia.

Kiedy obmywałam jej ranę na czole, wpatrywała się we mnie zrozpaczonym wzrokiem.

- Marco! - wyszeptała. - O mój Boże! Co mu się stało?

- Steven i Nick zajmują się Markiem. Zaraz będzie lekarz. Staraj się o tym nie myśleć, kochanie.

- Ty tego nie rozumiesz. Ja go kocham. Kocham Marca.

- Tak, tak, najmilsza. Wiem o tym.

- Co za koszmar! To potworne. Kto mógł...?

- Nie myśl teraz o tym. Zamknij oczy i odpocznij trochę.

Posłuchała mojej rady. Współczucie omal nie rozsadzało mi piersi, gdy widziałam łzy, które wypływały spod zamkniętych powiek i toczyły się po jej policzkach.

Doktor, Barry i policja zjawili się niemal równocześnie. Wkrótce potem wyniesiono nieruchome ciało Włocha. Wróciłam do salonu, gdzie policjanci czekali, żeby nas przesłuchać.

Wypytywanie wlokło się niemiłosiernie, w końcu wszyscy byliśmy zmęczeni i mieliśmy szczerze dość całej historii. Młodszy z policjantów zapisywał wszystko w notesie. Zwyczajowe pytanie, gdzie kto stał w momencie eksplozji. Zeznanie Stevena, że nie było go wtedy w pomieszczeniu, przyjęto do wiadomości z uniesionymi brwiami i podkreślone w notesie grubą kreską.

- Chciałbym panu zadać pytanie natury osobistej, signore. Jak układają się pańskie stosunki z małżonką? Kocha ją pan?

- Odmawiam publicznego dyskutowania o moim życiu prywatnym.

Karabinier wzruszył ramionami wymownie przewracając oczyma.

- Ktoś usiłował zabić pańską żonę. Człowiek został okrutnie okaleczony i może nawet umrzeć. Musi pan zrozumieć, że moim obowiązkiem jest poznanie wszelkich szczegółów.

- Nie ja posłałem tę bombę - odparł spokojnie Steven. - Gdybym chciał zabić swoją żonę, znalazłbym prostsze metody. Proponuję, żebyście obejrzelі sobie tę rzecz w ogrodzie, może ten ślad zaprowadzi was dalej niż wszelkie pytania. Kiedy wasi eksperci zbadają tę koszmarną broń, pewnie znajdą jakąś wskazówkę, kto mógł ją zbudować.

Mały człowiek uklonił się.

- Poinformowaliśmy już Squadra Mobile, i pozostałości bomby zostaną bardzo dokładnie zbadane.

Wreszcie sobie poszli, a wkrótce po nich Nick Herder, który na odchodne szepnął do mnie:

- Wiedziałem, że będzie fajerwerk, ale nie tak go sobie wyobrażałem.

Betty, Miriam i ciotka Polly natychmiast poszły spać. Barry i Steven siedzieli przy drinku. Nikt nie musiał mnie przekonywać, bym została z nimi. Nagle Barry zwrócił się do Stevena.

- Nawiasem mówiąc, było jeszcze coś, co powinienem powiedzieć.

Steven obrzucił go szybkim spojrzeniem.

- Co?

- Kiedy wszedłem do ogrodu, spostrzegłem uciekającą kobietę. Nie mam wątpliwości, że przebywała w willi lub przynajmniej w jej otoczeniu.

Steven odstawił swój kieliszek.

- Udało ci się rozpoznać tę osobę?

- Dokładnie wiem, kto to był. I dlatego nie mogłem powiedzieć. Przynajmniej w obecności Nicka. Musisz wiedzieć, że tą kobietą była Francesca Herder. Dziwne, co?

- Owszem - odparł Steven. - Bardzo dziwne. Nadszedł moment, bym opowiedziała im o uwadze

Nicka na temat fajerwerku. Uznaliśmy zgodnie, że i to było więcej niż dziwne. Po chwili Barry oświadczył, że idzie spać.

Steven i ja zajrzeliśmy jeszcze do Cathy. Na skroni widniała brzydka rana, twarz miała poszarzałą, lecz spała spokojnie.

- Biedna mała dziewczynka - rzekł cicho Steven dotykając jej miękkich brązowych włosów rozsypanych na poduszce. - Biedna Cathy, sądzę, że naprawdę kocha Marca.

Spojrzałam na niego zmieszana, lecz wyraz jego twarzy nie zdradzał żadnych uczuć.

- Przyniosę sobie rzeczy i będę spał w pokoju naprzeciwko. Chciałbym być pod ręką, gdyby mnie potrzebowała. - Popatrzył na mnie i delikatnie dotknął mego policzka. - Dobranoc, Tino. Niech pani spróbuje trochę się przespać. W następnych dniach wszyscy będziemy tu mieli urwanie głowy.

Steven miał rację. Mało tego, że bez przerwy mieliśmy w domu policję, to na dodatek rzucili się na nas reporterzy z całego świata. Nazwiska Stevena Denisona i Catherine Carsten były dostatecznie sławne, by usprawiedliwić to zainteresowanie.

Gazety podchwyciły zwłaszcza jeden brzydki szczegół, który wyszedł na jaw następnego dnia, kiedy Steven wszedłszy do swego gabinetu stwierdził, że jakiś nieznany sprawca zniszczył „Portret dziewczyny”. Oczy były przebite nożem, a reszta twarzy niemiłosiernie pocięta i poszarpana.

Wyjaśnienie Franceski zostało przez nas zaakceptowane. Przyznała się, że szpiegowała męża. Usłyszawszy eksplozję myślała z początku, że to jakiś fajerwerk, który wystrzelił za wcześnie, potem jednak wystraszyła się krzyku i uciekła.

Bomba w dalszym ciągu była w laboratorium, badania trwały. Policjanci poinformowali nas, że gdyby wybuchła zgodnie z planem, wszyscy na pewno byśmy już nie żyli. Wyjaśnili, że śruby dokręcono zbyt mocno, i dlatego wieczko tylko się wyrzuciło.

Po dniu odpoczynku Cathy opuściła łóżko i wędrowała po domu niczym smutny duch. Wszyscy byliśmy zdenerwowani i rozdrażnieni. Sądzę, że

przede wszystkim Barry chętnie by spakował walizki i wyjechał, lecz policja wydała surowy zakaz opuszczania willi.

Od czasu przyjęcia nie pracowałam dla Stevena. Zamiast tego poprosił mnie o dotrzymanie towarzystwa Cathy. Tego popołudnia jednak wyjechała z lekarzem do Florencji odwiedzić Marca. Nie było więc powodu, bym zwlekała z podjęciem pracy.

Steven ucieszył się na mój widok i wskazał ogromny wór listów.

- Poczta od wielbicieli - rzekł krzywiąc się. - Na wszystkie nie możemy odpowiedzieć. Przygotuję coś, a potem to powielimy.

Usiadłam przy stole. Spojrzał mi w twarz i westchnął głęboko.

- Na jeden będę musiał jednak odpowiedzieć. Napisał do mnie pani ojciec, Tino. Żąda, bym natychmiast odesłał panią do domu.

- A więc i pana też dopadł! Dostałam już od niego przynajmniej pół tuzina listów. Odpisałam, że nie zamierzam rezygnować ze swej posady. Poza tym wyraziłam przekonanie, że nic się już nie zdarzy.

Przyjrzał mi się uważnie.

- I wierzy pani w to, co pani mu napisała?

- Naturalnie - pośpieszyłam z zapewnieniem. - Nikt nie zaryzykuje już następnej próby, dopóki mamy się tak na baczności.

- Nie jestem wcale taki przekonany. Pewności w każdym razie nie ma.

- Nikomu z nas nie wolno wyjechać. Poza tym obiecałam Cathy, że zostanę, i zamierzam dotrzymać słowa.

Jego czoło wygładziło się, obdarzył mnie zatroskanym uśmiechem.

- W takim razie wszystko jasne. Mówiąc szczerze, nie wierzyłem w pani wyjazd, choć uważam, że tak byłoby lepiej. Mam tyle spraw na głowie, że wolałbym nie musieć troszczyć się w dodatku o panią.

- Dlaczego miałby pan to robić? Nasze oczy spotkały się.

- Dokładnie nie wiem, Tino. Wiem tylko, że to robię.

- Mieliśmy dość czasu, żeby się nad wszystkim zastanowić. Domyśla się pan, kto mógłby chcieć zabić Cathy?

- Podobnie jak pani, podejrzewam każdego. Uważam jednak, i w tym punkcie zgadzam się z policją, że Nick Herder wie więcej od nas wszystkich.

- Nie byłam u niego od czasu przyjęcia. Mój portret jest prawie gotowy. Może pójdę do niego na ostatnie pozowanie. Gdyby udało mi się dopaść na osobności Francesce, na pewno bym się dowiedziała czegoś więcej.

- Nie pójdzie pani do Nicka Herdera. Stanowczo pani zabraniam.

- Dlaczego?

- Mówię poważnie. Tino. Dopóki cały przypadek nie jest wyjaśniony, proszę schodzić Herderom z drogi. Nie ufam mu wcale. Nie chcę go oglądać pod swoim dachem i nie pozwalam pani kręcić się w pobliżu jego domu.

Bąknęłam coś, co miało oznaczać zgodę, i czym prędzej zajęłam się sortowaniem poczty. Przez chwilę pracowaliśmy w milczeniu, w końcu Steven znowu podjął rozmowę.

- Obawiam się, że ta wizyta bardzo Cathy poruszy. Kiedy Marco był operowany, jednego oka nie udało się uratować. Poza tym lekarz uważał, że jego twarz pozostanie na zawsze zeszpecona. Wiedziałem, że Cathy go kocha - ciągnął po chwili. - Marco wyjechał na kilka miesięcy do Ameryki, było to w tym czasie, kiedy Cathy wróciła do mnie i poprosiła, byśmy spróbowali uratować nasze małżeństwo. Bóg jeden wie, dlaczego to zrobiła! Szczęście trwało dwadzieścia cztery godziny, a potem opuściła mnie znowu. Kiedy odkryła, że spodziewa się ze mną dziecka, przeżyła ciężki szok. Ja, mówiąc szczerze, też. Postanowiła zostać ze mną do urodzenia dziecka. Wtedy zadecydujemy o jego i naszej przyszłości. Ale wówczas nie przeczuwałem nawet, że będzie to takie piekło.

- Dlaczego opowiada mi pan to wszystko?

- Jestem przekonany, że Cathy opowiedziała pani swoją wersję, dlatego powinna pani usłyszeć także moją.

- Cathy jest takim uroczym człowiekiem. Nie rozumiem, dlaczego nie możecie dojść ze sobą do ładu. Jest taka łagodna, wyrozumiała. Zawsze uważałam ją za idealną żonę.

- Często mi zarzuca, że ożeniłem się z jej portretem, i w jakimś sensie ma nawet rację. Nigdy nie kochałem Cathy, tylko tę osobę, za jaką ją uważałem. Od dłuższego czasu wiedziałem, że za moim portretem dziewczyny ukrywa się aktorka Catherine Carsten, mimo to schodziłem jej z drogi, gdyż obawiałem się rozczarowania. Potem poznaliśmy się na jakimś przyjęciu u Miriam i w niespełna miesiąc później wzięliśmy ślub.

- I co się potem popsuło?

- Wszystko. Cathy była rozczarowana, kiedy musiała stwierdzić, że nie wszyscy sławni pisarze są milionerami. Nie podobał jej się mój mały dom i kazała mi zbudować obok to monstrum. Nie chciała mieć dzieci i rezygnować z kariery scenicznej. Nienawidziła moich przyjaciół, a ja nie byłem zachwycony jej przyjaciółmi. W końcu zaczęliśmy się nawzajem nienawidzić. Nasze życie było łańcuchem nieprzyjemnych, małostkowych kłótni. Ale możliwe, że prawda leży w tym, iż nigdy jej nie wybaczyłem, że

tak bardzo różni się od moich wyobrażeń o niej jako o dziewczynie z portretu.

- Biedna Cathy! Sama mi już to powiedziała.

- Prawdopodobnie nie byłem dla niej zbyt miły. Wydobyła na jaw to, co we mnie złe.

Zostawiłam listy i podniosłam się.

- Steven! Ale chyba nigdy - nawet przez chwilę - nie miał pan ochoty jej zamordować?

- Oczywiście, że miałem - odparł spokojnie. - Potrafię panować nad sobą, ale bywało... Raz niewiele zabrakło, żebym to zrobił.

- Wtedy... kiedy omal nie zabito Cathy... - Przejechałam językiem po wyschniętych wargach. - Czy to było tamtej nocy w hotelu niedaleko lotniska?

Jego twarz stężała z gniewu, a wzrok nappełnił mnie strachem.

- Co pani zamierza? Chce pani wydobyć ode mnie przyznanie się do winy? A co będzie, jeśli się przyznam? Pobiegnie pani na policję? Albo zacznie wzywać pomocy? Dopiero teraz rozumiem, do czego pani zmierza. Nie wiedziałem, że jestem głównym podejrzanym. Dziwię się tylko, że odważyła się pani przyjść do mnie sama. Jest pani prawdziwą bohaterką, co?

- Steven! Proszę! Niech pan tak nie mówi!

- A jeśli mimo to będę mówił dalej? Wtedy pewnie znowu mnie pani spoliczkuje. Ale ostrzegam panią, że oddam. Z mordercami nie można sobie pozwalać na zbyt wiele.

Odwróciłam się i opuściłam pokój nie zamykając drzwi. Dzięki temu oparłam się pokusie, żeby nimi trzasnąć.

Rozdział ósmy

Zbliżałam się do domu Nicka Herdera, gdy nagle usłyszałam jęk jakiejś kobiety. A może było to zwierzę? Potem ciszę gór rozdarł pełen bóleści okrzyk, a w następnym momencie pędziłam już w stronę domu. Nick wyszedł mnie powitać. Drżał na całym ciele.

- Dzięki Bogu, że pani jest, Tino. Dla Franceski nadeszła ciężka chwila, natychmiast muszę sprowadzić lekarza. Ale nawet jeśli go znajdę, i tak nie zdąży.

Weszliśmy do sypialni. Bóle na chwilę przycichły, i Francesca pojękując leżała na materacu, zwróciwszy ku mnie wystraszone duże czarne oczy. Jej mała córeczka kuciała w kącie obserwując ją przerażonym wzrokiem.

- Niech pan weźmie ze sobą Ilianę i poprosi którąś z kobiet we wsi, żeby tutaj przyszła. Uczynię co w mojej mocy, ale nie znam się na położnictwie. Po lekarza niech pan pošle kogoś innego.

Nick zawahał się chwilę. Nie chciał opuszczać żony w takiej chwili. Bez względu na jego ocenę jako człowieka, w jego miłość do Franceski nie można było wątpić.

- Niechże się pan pośpieszy i poszuka kogoś, kto wie, jak odbywa się poród.

Wziął dziecko na rękę i wybiegi z domu. Francesca wydała przeraźliwy krzyk. W następnym momencie Nick stał już znowu w drzwiach z wylęknionym spojrzeniem.

- Na miłość boską, niech pan kogoś sprowadzi - zawołałam ochryple.

Prawdopodobnie powinnam zagotować wodę - do tego ograniczała się moja skąpa wiedza o porodach. Ale Francesca nie puszczala mnie. Z bólu zupełnie straciła głowę, i kiedy chciałam od niej odejść, uczepiła się mnie kurczowo, pozostawiając długie ślady zadrapań na moim przedramieniu, a w końcu udało się jej chwycić mnie za przeguby. Uklękałam obok niej, serce mi biło jak szalone.

- La mia bambina! - krzyknęła.

O mój Boże! pomyślałam zrozpaczona. lescze nie teraz! Proszę, przyślij mi kogoś, zanim dziecko się urodzi.

Drzwi otworzyły się, i do pokoju weszła przysadzista kobieta. Uśmiechnęła się, skinęła mi i mlasnęła z dezaprobatą językiem. Przypuszczalnie nie podobały jej się krzyki Franceski.

Kiedy wreszcie lekarz dysząc wdrapał się pod górę, dziecko było już nie tylko urodzone, ale również wykąpane i ubrane, i spoczywało u piersi matki. Francesca myliła się sądząc, że będzie miała dziewczynkę. Po zbadaniu Franceski i dziecka lekarz zauważył na odchodne zwracając się do Nicka:

- Pański posłaniec złapał mnie przypadkiem. Właśnie wróciłem z panią Denison ze szpitala, gdzie odwiedziliśmy tego nieszczęśnika.

- Gdzie ona jest teraz? - spytałam spieszenie.

- Szła za mną. Ale nie sama - zapewnił lekarz. - Był z nią człowiek wysłany po mnie.

Ledwo wypowiedział to zdanie, na zewnątrz rozległ się głos Cathy. Francesca przytuliła dziecko, a w jej oczach zapłonęła nienawiść, którą zauważyłam już wcześniej. Krzyknęła coś do męża, a ten natychmiast wybiegł z pokoju.

- Kazała mu ją odesłać - przetłumaczył lekarz. - Najwidoczniej Francesca nie życzy sobie jej wizyty.

Ruszyłam razem z nim do wyjścia.

- To była dobra robota - wyjaśnił. - Pierwszy poród bywa często nie taki prosty.

- Ale to przecież jej drugie dziecko.

- O nie - zaprzeczył zdecydowanym tonem. - Jeszcze nie rodziła.

Wróciłam do Franceski i uklękłam obok materaca. Iliana przytuliła się do matki z drugiej strony łóżka. Francesca mówiła powoli i z namysłem, wyraźnie akcentując słowa, jak zawsze podczas naszych rozmów.

- Lekarz powiedział pani, że to moje pierwsze dziecko? Skinęłam głową i podniosłam wzrok, kiedy do pokoju wszedł Nick.

- Nasze pierwsze dziecko - potwierdził. - Musi pani wypić z nami za jego zdrowie, Tino.

Przyniósł wino, usiedliśmy obok siebie na podłodze.

- Iliana? - zaczęłam z wahaniem.

Raz jeszcze przyjrzałam się twarzy dziecka, i w mej duszy zakiełkowało straszne podejrzenie. Ale to nie mogła być przecież prawda... Chyba oszalałam, że taka myśl w ogóle zaświtała mi w głowie. A mimo to, duże orzechowe oczy Iliany, które wpatrywały się we mnie, mówiły mi prawdę wyraźniej, niż mogłyby to uczynić wszelkie słowa. Jak często napotykałam wzrok podobnej pary oczu? Oczu, które były równie jasne i szczerze jak te tutaj? Moje podejrzenie zmieniło się nagle we wstrząsającą pewność.

Nick, który przez cały czas obserwował mą twarz, spytał cicho:

- Teraz pani wie, kto jest matką naszej małej Iliany?

- Cathy? - wyszeptalam. - Ona jest dzieckiem Cathy... Nie rozumiem jednak tego wszystkiego.

- Wcale nie tak trudno to zrozumieć. - Nick odchylił głowę do tyłu, opróżnił swój kieliszek do ostatniej kropli i otarł usta grzbietem dłoni. - W czasach, kiedy malowałem portret Cathy, żyliśmy ze sobą. Miała ze mną dziecko i nie mogła mi tego wybaczyć. Ja siedziałem w domu i opiekowałem się dzieckiem, a ona kontynuowała swoją karierę. Pewnego wieczora nie wróciła. Zostawiła mnie razem z dzieckiem, dosłownie. Nie próbowałem jej nakłaniać do powrotu. Zbyt byłem zadowolony, że wreszcie się jej pozbyłem. Pojechałem z Ilianą do Neapolu i tam poznałem Francescę. Francesca kochała nie tylko mnie, ale i dziecko. Wzięliśmy ją nawet do kościoła, kiedy braliśmy ślub.

Ani przez moment nie wątpiłam w prawdziwość jego słów. Nie należał do mężczyzn, którym normalnie bym wierzyła, ale w tych minutach ulgi, jakie nastąpiły po urodzeniu jego syna, nie byłby zdolny opowiadać kłamstw. Relacjonował tylko nagie fakty.

- Nie widziałem już Cathy, mimo że mogłem czytać o jej romansie z Markiem na gazetowych szpaltach poświęconych plotkom. Potem dowiedziałem się, że ma przyjechać do Bartessy. Dziecko Franceski miało przyjść wkrótce na świat, a ja byłem bez grosza. W Neapolu mieszkaliśmy z jej rodzicami i trzema braćmi w dwóch pokojach. Postanowiłem przyjechać tutaj i porozmawiać z Cathy.

- Chciał ją pan prosić o pomoc?

W śmiechu Nicka pobrzmiwała jakaś nieprzyjemna nuta.

- Chciałem ją zmusić, żeby mi pomogła. Gdyby policja dowiedziała się o tym, nazwałaby to szantażem. Groziłem, że jeśli nie zapłaci, opowiem jej mężowi o pewnych rzeczach z przeszłości. - Obrzucił mnie badawczym spojrzeniem, chcąc ocenić moją reakcję na to wyznanie, lecz udało mi się zachować niewzruszony spokój.

- A więc Cathy dała panu pieniądze?

- Bardzo niechętnie. Bała się, że mogę rozgłosić publicznie jej tajemnice.

- Cathy musiała boleśnie przeżywać fakt, że jej dziecko wychowuje inna matka - rzekłam w zamyśleniu.

Na dźwięk jego śmiechu śpiąca Francesca poruszyła się niespokojnie, więc natychmiast zniżył głos.

- Jedyną kobietą, która musiała odczuwać ból, była moja mała Francesca. Podobnie jak pani poznała, że Cathy jest matką Iliany. Myślała, że przyjechałem tu dlatego, że dalej kocham Cathy. Nie miałem odwagi przyznać się jej do swych prawdziwych pobudek.

- Nick - rzekłam ostrożnie. - A „Portret dziewczyny”? Zniszczenie tego obrazu bardzo mi wyglądało na akt zemsty zazdrosnej kobiety. Czy to dzieło Franceski? - Uciekł wzrokiem w bok, i wiedziałam, że nadszedł teraz dla niego czas kłamstwa. - Proszę nie odpowiadać na moje pytanie - zawołałam. - Nie ma potrzeby. Obiecuję panu, że już o tym nie wspomnę.

- To był najlepszy obraz, jaki kiedykolwiek namalowałem - odparł stłumionym głosem, w którym przebijała gorycz. - Z trudem wybaczyłem Francesce ten czyn. Ale była to wyłącznie moja wina.

Przez jakiś czas siedzieliśmy w milczeniu.

- A co z bombą? - zapytałam cicho. - Jak ona się ma do całej tej historii?

- W ogóle do niej pasuje - odparł z krzywym uśmiechem. - Z największym trudem udało mi się przekonać policję o niewinności mojej uwagi na temat fajerwerku. Mówiąc to miałem jedynie na myśli przyjemność obserwowania zazdrosnego kochanka i męża oraz iskry, jakie będą się sypać przy ich starciach. O tej cholernej bombie nie wiem więcej od pani. Bóg mi świadkiem.

- Wierzę panu - rzekłam po prostu.

Po tych słowach wstałam i wyszłam. Nick powiedział prawdę. Na myśl o tym, że mu wierzę, poczułam się nieswojo. Jeśli bowiem przestałam go podejrzewać, znaczyło to, że rozsądny szaleniec przebywa w willi. A wszystko we mnie broniło się przed tą straszliwą prawdą.

Kiedy wróciłam, wszyscy z wyjątkiem Stevena siedzieli na werandzie i popijali koktajle. Na moją prośbę Barry przyniósł mi szklanekę piwa.

Cathy znużonym, pozbawionym wyrazu głosem opowiadała o swojej wizycie w szpitalu. Obserwowałam ruchy jej warg, lecz słowa, nie słyszane, przepływały obok mnie.

- A co pani porabiała przez cały ten czas? - Wzdrygnęłam się, kiedy głos Miriam wyrwał mnie z zamyślenia. Oczy wszystkich zwróciły się na mnie. - Prawdopodobnie siedzieliście ze Stevenem i pracowali.

Rumieniec buchnął mi na twarz, gdy dostrzegłam drwinę w jej oczach. Opowiedziałam o narodzinach dziecka. Wiadomość przyjęto w milczeniu.

- A co Iliana sądzi o swoim braciszku? - spytała w końcu Cathy.

Spojrzałyśmy sobie w oczy, i sędzę, że w tym momencie stało się dla niej jasne, że znam prawdę, nagle bowiem opuściła głowę w dłonie i jęknęła rozpaczliwie.

- Co z tobą, dziewczyno? Ból głowy? - burknęła ciotka Polly.

Cathy zmęczonym gestem podniosła się z krzesła.

- To chyba przez długą jazdę do szpitala - powiedziała. - Jeśli nie macie nic przeciwko temu, chciałabym się położyć. Będiesz tak dobra, Tino, i przyniesiesz mi później coś do jedzenia?

- Naturalnie.

Kiedy Cathy nas opuściła, ciotka Polly odłożyła robótkę i posłała Barry'ego, żeby jej przyniósł z barku sok cytrynowy. Następnie kazała mu usiąść i wysłuchać, co ma do powiedzenia.

- Ta dziewczyna bliska jest załamania nerwowego - oświadczyła. - Pora, żebyśmy zbadali rzecz dokładnie. Przez całą noc nie spałam, chyba jakiś insekt był w moim łóżku. W każdym razie miałam dużo czasu na rozmyślanie. O ile mogę to ocenić, jest tylko jeden człowiek, który mógłby coś zyskać, gdyby ta bomba zabiła Cathy.

Barry poruszył się niespokojnie na swoim leżaku. Jego twarz wyrażała zatroskanie, ze zdziwieniem stwierdziłam także, że jego duże dłonie zacisnęły się w pięści.

- Tym człowiekiem jesteś ty, Barry.

Twarc Barry'ego oblał ciemny rumieniec, jego wargi poruszały się, lecz nie wydobył z siebie słowa, aż wreszcie wybuchnął niczym wzburzony górski potok

- Dobry Boże, ciociu Polly...

- Siedź cicho - zgromiła go. - Czy tego chcesz, czy nie chcesz, wysłuchasz mnie do końca.

Miriam popatrzyła zwięzionymi oczyma na starszą damę, a następnie na zdenerwowanego Barry'ego.

- Jak Barry mógłby coś zyskać, ciociu Polly? - spytała cicho.

- Kiedy nie będzie mnie już na tym świecie, odziedziczyłby wszystkie moje pieniądze, a nie jedną trzecią,

Miriam wyprostowała się i spojrzała na nią z niedowierzaniem.

- Pani ma pieniądze? Prawdziwe pieniądze?

- Pewnie, że mam - oświadczyła triumfalnie ciotka - to coś, o czym pani dotąd nie wiedziała, prawda? Nie należę do ludzi, którzy roztrąbiają takie rzeczy na cały świat. Mój ojciec posiadał trzy przedziałnie bawełny, a kiedy

moi bracia zmarli, odziedziczyłam wszystko. Mogłabym kupić i sprzedać połowę tych pani wystrojonych gwiazd filmowych. Dlaczego? Dlatego, że zawsze żyłam oszczędnie. Po prostu siedzę sobie wygodnie w fotelu i przyglądam się, jak mój kapitał rośnie.

- Boskie zajęcie! - zawołała Miriam. - Czarujące. I dwie trzecie z tego przypadnie Cathy?

- Tak. Na początku postanowiłam podzielić swój majątek pomiędzy nią i Barry'ego. Kiedy jednak potem uratowała mnie z płomieni, uznałam, że zasługuje na trochę więcej. - Popatrzyła przenikliwie na Barry'ego. - Pamiętam, jak ci się mina wydłużyła, kiedy powiedziałam ci o tym. Pewnie pokrzyżowało to całkiem twoje plany.

Na czole Barry'ego pojawiły się maleńkie krople potu, i wyciągnął chusteczkę, żeby je wytrzeć. W jego niebieskich oczach czaił się strach.

- To naturalne, że byłem rozczarowany - odparł, gdy opanował się dostatecznie, by móc mówić. - Ale lubię Cathy. Nawet bardzo. Faktycznie miałem nadzieję, że... - Urwał w połowie zdania.

- Na co miałeś nadzieję? - spytała Miriam podejrzenie słodkim głosem. - Na przykład, że twoja kuzynka Cathy rozwiedzie się ze Stevenem, żeby wyjść za ciebie? Wtedy mógłbyś uratować całą sumę dla rodziny.

Barry nie odpowiadał, ale jego milczenie było wymowne. Oczy ciotki rozbłysły. Postawiła szklanekę na blacie stołu tak mocno, że na szkle pojawiło się pęknięcie.

- A więc to była twoja gra! Ale nic by ci to nie dało. Czyżbyś sądził, że zostawiłabym swój majątek rozwiedzionej kobiecie? Wolałabym już go przekazać na schronisko dla bezdomnych kotów!

- Ależ nikczemni są mężczyźni! - rzekła Miriam powściągając wybuch złości. - Zrozumiałeś pewnie, że twój plan się nie powiódł. Że Cathy ani myśli porzucić Stevena. A może tylko uświadomiłeś sobie, że ciotka Polly tnie idzie ci na rękę.

Barry zerwał się na nogi.

- Mam już tego wszystkiego dość!

- Przynieś sobie coś do picia i wróć tutaj - rozkazała starsza dama. - Zaraz zbadamy na miejscu całą sprawę.

Barry wrócił niechętnie z podwójną whisky i siadając posłał Miriam spojrzenie, naładowane wprost antypatią.

- A więc - podjęła z zapalem ciotka. - Mamy na razie motyw. A co z wykonaniem? Wtedy, w hotelu, mieszkałeś w jednym z sąsiednich pokoi.

Bez trudu mogłeś też uszkodzić coś w łodzi, żeby zatoneła. I tylko ty jeden z naszego grona znasz się trochę na bombach.

Nikt nie śmiał się odezwać. Chyba nawet wstrzymałam oddech. Barry opróżnił swą szklaneczkę i odstawił. Rumieniec zniknął z jego twarzy, ustępując miejsca bladości. Patrzyliśmy na niego w napięciu i czekaliśmy.

- Opowiedziałas to wszystko policji? - spytał niepewnie.

- Oczywiście. Moim obowiązkiem było powiedzieć wszystko, co wiem. Spodziewałam się, że cię aresztują. Nie rozumiem, dlaczego jeszcze tego nie zrobili.

Barry spojrział na starszą damę.

- Myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi - rzekł spokojnie. - Znasz mnie od dzieciństwa. Naprawdę uważasz, że jestem zdolny do takiej niegodziwości?

Ciotka Polly poruszyła się, zmieszana, na swym krzeselku.

- Kto może wiedzieć, do czego człowiek jest zdolny lub nie? Pieniądze popychają ludzi do wielu przestępstw. Już jako dziecko byłeś skąpy. Zawsze byłeś dla mnie dobry, ale nie robiłam sobie iluzji co do twoich prawdziwych uczuć.

Barry podniósł się ciężko. Wydawał się jakby ogłuszony.

- Niewiele można do tego dodać. Osądziliście mnie i uznali za winnego. - Popatrzył na starszą damę i nagle stracił panowanie nad sobą. - Zwariowałaś wysuwając takie oskarżenia - zawołał ochryple. - Moja matka zawsze twierdziła, że masz tak samo pomieszane w głowie jak reszta twojej rodziny, i teraz widzę, że miała rację. - Odwrócił się i wyszedł.

Starsza dama drżącą ręką sięgnęła po swoją szklanę. Sok cytrynowy wyciekł jednak przez pęknięcie, więc odstawiła ją.

- Barry bardzo nieładnie się zachował - powiedziała drżącym głosem. - To prawda, że mój ojciec był trochę dziwakiem, a brat, nim umarł, miał źle w głowie. Ale u mnie zawsze wszystko było w najlepszym porządku. To było bardzo nieuprzejme z jego strony.

- Pani też była wobec niego nieuprzejma - przypomniałam.

- Jeśli wszystko, co pani powiedziała, opiera się na faktach, to wydaje mi się, że najbardziej zwariowaną osobą jest Barry - wtrąciła Miriam. - Zawsze uważałam go za dziwaka.

- Nie wiem. - Starsza dama była bliska płaczu. - Zawsze lubiłam Barry'ego. Dopóki Cathy nie wkroczyła w moje życie, był jedynym człowiekiem, który należał do mnie. Niechętnie dopuszczam do siebie myśl, że on mógł to zrobić. Ale to możliwe, prawda?

- Każdy w tym domu może być sprawcą - zauważyłam z naciskiem. -
Każdy.

Miriam obrzuciła mnie spojrzeniem, w którym czaił się strach.

- Mam dosyć całej tej historii - zawołała piskliwie. - Czuję się w tej cholernej willi jak więzień. Gdy tylko policja da hasło, wystrzelę jak rakietą. A pomyśleć, że szukałam tu trochę spokoju!

Podczas kolacji towarzystwo było milczące. Cathy została w pokoju, a Steven nie opuścił jeszcze swego gabinetu. Starsza dama w ogóle się nie odzywała. Prawdopodobnie uważała, że powiedziała już dosyć. A nawet więcej niż dosyć. Bez przerwy bombardowała Barry'ego lękliwymi spojrzeniami, a kiedy opuszczaliśmy jadalnię, usłyszałam, że zagadnęła go. Barry otoczył jej szczupłe plecy ramieniem. W oczach Miriam dostrzegłam pogardę.

- A teraz znowu wszystko jej cacy - szepnęła wzburzona. - Czy to nie piękne?

Weszłam do kuchni, żeby przygotować coś do jedzenia dla Cathy. Betty chciała mnie wyręczyć, lecz uparłam się, że zrobię to sama. Domyślałam się, że Cathy będzie chciała ze mną porozmawiać, i nie omyliłam się.

Siedziała w łóżku z oczyma zaczerwienionymi i spuchniętymi od płaczu. Odstawiła tacę i poprosiła mnie, żebym zamknęła drzwi.

- Już wiesz? - zapytała. - Nick wyjaśnił ci, kim jest Iliana?

Znużonym gestem skinęłam głową i usiadłam na kraju łóżka.

- Moja córeczka właściwie nie ma na imię Iliana - zaczęła. - Nazwaliśmy ją Catherine - po mnie. Kiedy Nick ożenił się potem z Francesca, nadali jej to włoskie imię.

Tysiąc pytań cisnęło mi się na język, ale milczałam. Nie musiałam ich jednak zadawać, gdyż Cathy postanowiła ulżyć swemu sercu i opowiedziała mi całą historię.

Usłyszałam, że próbowała zaczepić się w teatrze i nie miała nawet pieniędzy na najpotrzebniejsze rzeczy. Wypowiedziano jej pokój, w którym mieszkała, i wyrzucono bez grosza przy duszy na ulicę. Nick zlitował się nad nią i wziął ją do siebie.

- Wtedy, Tino, był zupełnie inny. Może nie tak przystojny jak Steven, ale całkiem uroczy i zawsze w dobrym humorze. Niewiele zarabiał swoim pędzlem, i przeważnie żyliśmy z mojej skromnej gaży. Kiedy Catherine przyszła na świat, musiałam na jakiś czas opuścić scenę. Wegetowaliśmy wtedy w okropnym ubóstwie. Sądzę, że wówczas Nick Herder zaczął mnie

nienawidzić. - Spojrzała mi niepewnie w twarz. - Wiem, jak się czujesz, Tino. Jak musisz być przerażona. Czasem myślałam o tym, żeby wyznać ci wszystko, ale za każdym razem przypominałam sobie, że jesteś córką duchownego.

- A co to ma do rzeczy?

- No cóż, kiedy urodziło się dziecko, uznałam, że powinniśmy wziąć ślub. Ale Nick uważał inaczej. Dano mi wtedy w teatrze pierwszą prawdziwą szansę. Ponieważ jedno z nas musiało zarabiać pieniądze, przyjął tę propozycję. Nick został w domu i opiekował się Catherine. Formalnie ją ubóstwiał. Do tego stopnia, że wściekał się, kiedy sama chciałam się nią zajmować. Pewnego wieczoru wróciłam do domu i zastałam gniazdko puste. Nie zostawił żadnej wiadomości. Ani słowa! - Ponurym wzrokiem, pełnym bólu, lecz niewidzącym, wyglądała przez okno, jakby raz jeszcze przeżywała rozpacz tamtej chwili. - Nie miałam pojęcia, dokąd się udał. - W jej oku zabłysła łza i stoczyła się wolno po policzku. - Usłyszałam o nim ponownie tego lata, i to tu, w Bartessie. Często płakałam po nocach z powodu mego dziecka. Jedyłą moją pociechą była świadomość, że Nick bardzo je kocha. Wiedziałam, że nie zrobi dziecku krzywdy. Mimo to tęskniłam za Catherine... jak bardzo, nie potrafię ci wprost opisać. - Umilkła.

- Musiało to być dla ciebie straszne mieć ciągle córkę przed oczami, mam na myśli w Bartessie.

- Myślałam, że tego nie zniosę, ale było lepiej, niż sądziłam - wyznała szczerze. - Ta dziewczynka, Iliana, nie wydaje się już moim dzieckiem. Teraz jest córką Franceski. A poza tym - dodała cicho - wkrótce urodzę dziecko Stevena, na tym mi tylko zależy.

Chciałam coś powiedzieć, lecz nic stosownego nie przychodziło mi do głowy. Cathy spojrzała na mnie z nieszczęśliwą miną.

- Gardzisz mną, Tino, prawda?

- Na miłość boską, nie! Uważam tylko... - Zawahałam się chcąc dobrać odpowiednie słowa. W żadnym wypadku nią nie gardziłam. Przeciwnie, to wyznanie zwiększyło tylko moją sympatię dla niej. Zalała mnie fala współczucia. Kim ja byłam, żeby ją osądzać?

Nagle Cathy odwróciła się i wcisnęła twarz w poduszkę. Dopiero po dłuższej chwili uspokoiła się na tyle, by usiąść.

- Myślałam o Marcu - powiedziała. - Stracił oko i zostaną mu straszne blizny. To koniec jego kariery filmowej. Nie będzie miał już w życiu niczego.

- I ciebie też? - spytałam ostrożnie. Potrząsnęła głową.

- W moim sercu zawsze był tylko Steven. Kiedy urodzi się nasze dziecko, wszystko zmieni się na dobre. - Zamknęła oczy i uniosła twarz jak w modlitwie. - Musi być dobrze.

Wyszędłszy od niej zauważyłam, że w pokoju, gdzie spał teraz Steven, pali się jeszcze światło. Miałam więc gabinet dla siebie i mogłam dokończyć pracy, którą tak nagle przerwałam po południu.

Listy leżały rozsypane na podłodze, w całym pokoju panował potworny bałagan. Natychmiast zabrałam się do dzieła. Kiedy posortowałam wszystko i związałam w pliki, otworzyłam szafę, żeby poszukać jakiegoś pustego pudełka. W tym momencie coś w środku szafy obsunęło się, i zawartość kilku półek wysypała się na podłogę.

Było późno i czułam w kościach zmęczenie, lecz nie pozostało mi nic innego, tylko zrobić porządek. Już kiedyś proponowałam Stevenowi, że to zrobię, ale wciąż zapewniał mnie, że taka robota przystoi wyłącznie jemu.

Klucze znalazłam w kasetce stojącej w głębi szafy. Leżały ukryte pod papierem pakunkowym, i bardzo łatwo mogłam je wyrzucić razem z nim, gdybym nie sprawdziła dokładnie każdego arkusza w obawie, że mogę wyrzucić coś cennego. Był to cały pęk kluczy z umocowaną na kółku małą tabliczką „Hotel przy Lotnisku. III p.”

Przyglądałam się im trochę zmieszana, nie umiejąc wytłumaczyć sobie dziwnego uczucia, które mnie nagle ogarnęło. I wtedy przypomniałam sobie. Już wiedziałam, skąd wzięło się to dziwne uczucie. Uprzytomniłam sobie słowa Barry'ego, kiedy opowiadał mi o napadzie na Cathy w hotelu. I to był „Hotel przy Lotnisku”! Klucze które miała pokojówka, zniknęły. Wiedzieliśmy więc przynajmniej, w jaki sposób łajdak dostał się do środka.

Nie wiem, jak długo trzymałam klucze w ręku. Ręka musiała mi drżeć, gdyż słyszałam delikatny szcęk, kiedy wszystko rozplywało mi się przed oczami.

Na palcach przemknęłam przez ciemny korytarz. Serce przestało mi bić jak szalone dopiero wtedy, gdy ukryłam klucze bezpiecznie na dnie swojej walizki.

W willi panował spokój. Prawdopodobnie wszyscy już spali. Przechodząc korytarzem zwróciłam uwagę, że w salonie pali się światło, i postanowiłam je teraz wyłączyć. W otwartych drzwiach stanęłam osłupiała. W pomieszczeniu znajdowało się dwoje ludzi. Nie zauważyli mnie, lecz było to zrozumiałe, obejmowali się bowiem pogrążeni w namiętym pocałunku.

Kobietą była Miriam. W świetle lampy połyskiwała jej czerwona suknia. A potem rozpoznałam również mężczyznę. Linię jego pleców, kształt głowy. Steven.

Odwróciłam się i bezszelestnie poszłam z powrotem do swego pokoju.

Rozdział dziewiąty

Tej nocy sen mnie omijał. Śpiew ptaków i pierwsze promienie słońca, które padły na moje łóżko, powitałam niemal jak wybawienie. Wstałam bardzo wcześnie i udałam się do małego domku, gdzie przed przyjściem Stevena chciałam zrobić trochę porządku w jego gabinecie.

Choć byłam wcześniej niż zwykle, Steven siedział już przy stole. Zatrzymałam się zmieszana przy drzwiach.

- Przyszłam tylko, żeby uprzątnąć ten bałagan. Dużo czasu mi to nie zajmie.

Spojrzał na mnie z rozdrażnieniem.

- Jeśli się nie mylę, zabroniłem pani grzebać w moich szafach. Co, u diabła, wyprawiała pani tutaj? Szukała pani dowodów przeciwko mnie?

- Nie wiedziałam, gdzie podziać te listy - wyjąkałam wyjaśniającym, a zarazem przeproszającym tonem. Zarumieniłam się, dostrzegłszy nieufność w jego oczach. Natychmiast zdałam sobie sprawę, że nie wspomnę w ogóle o kluczach. Może kiedyś później, ale nie w tej chwili.

- Znalazła pani coś ciekawego?

- Nie - odparłam szybko. Za szybko. Ukłękłam i zaczęłam układać rzeczy w szafie. Steven przez cały czas przyglądał mi się uważnie.

- Wczoraj wieczór przyszedł jeszcze telegram od pani ojca. Pani brat przyjedzie jutro do Bartessy, żeby zabrać panią do domu.

Przysiadłam na piętach wpatrując się niewidzącym wzrokiem w manuskrypt, który trzymałam. Widziałam go jak przez mgłę.

- Chce pan, żebym wyjechała?

- Tak, chcę, żeby pani wyjechała - potwierdził.

- W takim razie oczywiście tak zrobię - rzekłam po chwili.

- Zmieniła się pani, Tino. Jeszcze wczoraj przysięgała pani, że nawet dziesięć koni stąd pani nie ruszy.

- Bardzo wiele rozmyślałam od tej pory. Nie widzę możliwości pomocy Cathy, a jeśli i pan nie potrzebuje już mojej pomocy, równie dobrze mogę wrócić do domu.

- Policja wyrazi zgodę. Jest pani jedyną osobą poza wszelkim podejrzeniem.

Kontynuując sprzątanie szafy miałam nadzieję, że Steven nie zauważy, jak mi drżą ręce. Wreszcie skończyłam i podniosłam się.

- Tino, nie chciałbym, żeby odchodziła pani od nas nieszczęśliwa i urażona - powiedział. - Jestem pani bardzo wdzięczny za wszystko, co pani dla mnie zrobiła. I za przyjaźń, którą obdarzyła pani Cathy. Ale lepiej, żeby pani wyjechała. Nie tylko dla pani... ale i dla mnie.

Łagodność w jego głosie tak mnie zaskoczyła, że łzy napłynęły mi do oczu. Na oślep wymacałam klamkę i opuściłam pomieszczenie, bojąc się, że w następnej chwili zrobię z siebie błazna.

Przy śniadaniu oznajmiłam wszystkim, że wracam do domu. Dla Cathy wiadomość ta była bolesnym ciosem, lecz zmusiła się do uśmiechu i rzekła, że tak może będzie najlepiej.

Następnie Barry poinformował nas, że policja pozwoliła mu odwiedzić ciotkę Polly do jego domu w Anglii.

- Tutejsze upały dają mi się strasznie we znaki. Mam plamy na całym ciele - wtrąciła starsza dama. - Cieszę się, że będę znowu żyć w normalnym klimacie.

- A więc pogodziliście się! - zauważyła drwiąco Miriam.

- Naturalnie - odparła ciotka Polly. - Przecież nigdyśmy się nie gniewali, prawda, mój chłopcze?

W parę minut później wyszli, także Cathy pożegnała się. Kiedy zostałyśmy we dwie na werandzie, Miriam popatrzyła na mnie ponad stołem.

- Wczoraj wieczór widziała pani mnie i Stevena.

- Przy... przykro mi. Nie chciałam szpiegować, tylko...

- Szkoda, że nie widziała pani swojej twarzy! Biedactwo! Wiedziałam, że jest pani w nim zakochana, ale nie domyślałam się, jak bardzo.

- Plecie pani bzdury! - Policzki mnie paliły, przeklinałam swoją głupią skłonność do czerwienienia się.

Miriam przyglądała mi się z zaciekawieniem.

- Możliwe, że nie dotarło to jeszcze do pani! Prawdopodobnie nie chce się pani przyznać przed samą sobą, że kocha pani żonatego mężczyznę.

- Na miłość boską, Miriam! Nigdy nie słyszałam tylu niedorzeczności...

- Miłość to jedna z gier, na których znam się bardzo dobrze. Kocha pani Stevena Denisona, to pewne. I żal mi pani.

Nie było sensu w ogóle o tym mówić, mimo to usłyszałam, jak pytam, dlaczego.

- Bo Steven kocha tylko swoją pracę, moja mała. W jego życiu nie ma miejsca dla kobiety, ani dla Cathy, ani dla mnie, ani dla pani.

- Dla pani też? Zeszłej nocy sądziłam...

- Naturalnie dało to pani wiele do myślenia! Ale niestety tak nie jest. Mówiłam tylko Stevenowi, że wynoszę się stąd, gdy droga będzie wolna. Pocałowałam go na pożegnanie i niejako w podziękowanie.

- To był dosyć mocny pocałunek - zauważyłam cicho.

- Oczywiście, aniele. Kiedy całuję mężczyzn, to coś z tego mają. Ale muszę być szczerą. Całowaną osobą był w tym wypadku Steven, nie ja.

Zmusiłam się do uśmiechu.

- Zauważyłam, jak bardzo się bronił. Miriam uśmiechnęła się łobuzersko.

- Niech pani nie będzie dziecinna, Tino. Możliwe, że Steven kocha swoją pracę, ale nie ma w sobie nic z mnicha. Może mi zamknąć przed nosem drzwi swojej sypialni, ale nie sądzę, by miał cokolwiek przeciwko temu pocałunkowi, a tym bardziej, żeby uważał go za nieprzyjemny. Sądzę nawet, że było mu całkiem miło.

- Jestem o tym przekonana. - Uśmiechnęłam się do niej. - Ale jeśli o mnie chodzi, to jest pani w błędzie. Nie jestem zakochana w Stevenie. Naprawdę myli się pani.

Popatrzyła na mnie dziwnie współczującym wzrokiem.

- Zdaży pani jeszcze uświadomić sobie tę niemiłą prawdę. Wybieram się do wioski, spróbuję przekonać policję, żeby mi pozwolili wyjechać do domu. Może dotrzyma mi pani towarzystwa?

- Zejdę razem z panią do domu Herderów. Zobaczę, jak tam dziecko, a poza tym muszę się z nimi pożegnać przed wyjazdem.

Schodziłyśmy w milczeniu, a przy szarym budynku rozstałyśmy się.

Francesca siedziała w łóżku, wyglądała kwitnąco i promieniała szczęściem. Nick powiedział jej wreszcie prawdę o Cathy i obiecał, że już nigdy nie będzie żądał od niej pieniędzy. Miło było patrzeć na szczęście obojga, a ich wdzięczność niemal mnie kępowała.

- Przez cały ranek pracowałam nad pani portretem - rzekł Nick. - Obraz jest gotowy. Jestem przekonany, że udał się dużo lepiej niż „Portret dziewczyny”. Podaruję go Stevenowi Denisonowi.

- Stevenowi? - zdumiałam się. - Ale dlaczego...

- Francesca zniszczyła tamten obraz - przypomniał. - Zaproponuję mu ten w zamian. Czuję, że bardziej mu się spodoba. - Chciałam zaprotestować, lecz zignorował to i spieszenie ciągnął dalej: - Francesca chce, żebym mu opowiedział, kto zniszczył obraz. Chce, żebym wyłożył kawę na ławę - o Ilianie i o tym, jak szantażowałam Cathy. Uważa, że zarówno Steven, jak i policja powinni poznać prawdę, bo jestem podejrzany o usiłowanie

zabójstwa Cathy. Kiedy się dowiedzą, że dawała mi pieniądze, zrozumieją, że zabijanie jej nie leżało w moim interesie. Mogłem mieć pożytek tylko z żywej.

- Pomyślał pan także o tym, co to będzie oznaczać dla Cathy? - zapytałam.

- Kiedy Steven się dowie, może to się skończyć rozpadem ich małżeństwa.

- Cathy i jej małżeństwo przestały mnie interesować - wyznał otwarcie. - Teraz liczy się tylko moja skóra. Żeby ochronić siebie i swoich bliskich, gotów byłbym wpędzić Cathy do piekła.

Nie udało mi się odwieść Nicka od jego planu. Miał przyjść tego samego dnia po południu. Po obiedzie przygotowałam Cathy na jego wizytę. Leżąc w łóżku wysłuchiwała w milczeniu mego ostrzeżenia.

- A więc to będzie koniec - powiedziała cicho. - Steven będzie miał powód, żeby mnie odprawić. Ty wyjedziesz, a pozostali pójdą wkrótce w twoje ślady. Wtedy sam będzie mieszkał w swoim małym domku, zupełnie sam, tak jak zawsze sobie życzył.

Wieczorem, kiedy siedzieliśmy wszyscy na tarasie, dołączył do nas Steven.

- Odwiedził mnie dziś Nick Herder - - rzekł patrząc na Cathy.

Wstrzymała oddech, spuściła głowę i zaczęła mieszać łyżeczką wodę z sokiem cytrynowym. Steven nie odrywał od niej oczu.

- Jeśli tak dalej będziesz mieszać, jeszcze przebijesz szklanekę - zauważyła oschle ciotka Polly.

- Betty dodała za dużo cukru - rzekła Cathy odwracając głowę, żeby uciec przed przenikliwym wzrokiem Stevena.

- Ja lubię wszystko dobrze posłodzone - odparła starsza dama. - Dla mnie nigdy nie może być dość słodkie. - Odłożyła robótkę i poleciła Stevenowi, by przyniósł jej z barku sok cytrynowy. Następnie spojrzała z przyganą na moją szklanekę. - Co pani pije?

- Koktajl.

- Powinna pani pić lemoniadę jak Cathy i ją. Pastorskie córki powinny się wystrzegać koktajli.

- Nie wszystkie pastorskie córki ślubują abstynencję - uśmiechnął się Barry, który był już przy trzeciej whisky.

Ciotka zamieszała swój napój podobną łyżeczką jak Cathy.

- Moja lemoniada wcale nie jest słodka - burknęła.

- Może się ze mną zamienisz? - spytała Cathy.

- W żadnym wypadku. Picie z cudzych szklanek to brzydki zwyczaj. Można od tego dostać pryszczycy.

Steven był bardzo milczący, zastanawiałam się, dlaczego w ogóle przyłączył się do towarzystwa.

- Czemu zawdzięczamy obecność naszego gospodarza? - spytał Barry, który przypuszczalnie wypił już za dużo.

- Ponieważ jest to ostatni wieczór Tiny u nas, uznałem za stosowne spędzić go razem z wami - odparł Steven. - Ona i jej brat będą prawdopodobnie nocować we Florencji przed odlotem do Anglii.

Carlotta przyniosła wiadomość, że podano do stołu, więc opuściliśmy taras i przeszliśmy do jadalni. Cathy chwyciła mnie za rękę i odciągnęła na bok.

- Nie zniosę tej wspólnej kolacji. Steven przez cały czas mnie obserwuje - rzekła z rozpaczą. - Powiedz im, że źle się czuję i poszłam do swojego pokoju.

- Przynieść ci coś na tacy?

- Nie, dziękuję. Rzeczywiście czuję się niezbyt dobrze. To prawdopodobnie nerwy.

Spojrzałam jej w twarz, bladą i znękaną. Sama Cathy po raz pierwszy wydała mi się starsza niż w rzeczywistości.

- Zagłównij do mnie później - szepnęła. - A teraz wytłumacz mnie przed innymi.

Uczyniłam zadość jej prośbie.

- Już wcześniej zauważyłam jej wychudłą twarz - rzekła ciotka Polly. - Ten bezsensowny upał działa fatalnie na żołądki.

Steven siedział u szczytu stołu. Wydawał się smutny i zmęczony, i poczułam ciepłą falę współczucia dla niego. Do tej pory całą swoją sympatią i troską otaczałam Cathy, lecz nagle uświadomiłam sobie, jak bardzo cierpi Steven. Przypuszczałam, że Nick nie oszczędzał Cathy i że jego opowieść nie była zbyt przyjemna.

Byliśmy mniej więcej w połowie posiłku, gdy usłyszeliśmy krzyk. Dźwięk, od którego krew skrzepła nam w żyłach, a w następnej chwili zerwaliśmy się na nogi. Z przerażeniem popatrzyliśmy po sobie. Krzyk powtórzył się.

Popędziliśmy do drzwi, a następnie wzdłuż korytarza; z którego zdawały się dobiegać krzyki.

Teraz rozróżnialiśmy wyraźnie, że krzyczy nie jedna kobieta, tylko dwie. Odgłosy dobiegały z pokoju Cathy. Zanim dotarliśmy do niego, krzyk

przeszedł w rozpaczliwy jęk. Steven znalazł się pierwszy przy drzwiach i otworzył je. Zdyszani wpadliśmy do środka, nie przeczuwając nawet, co tam na nas czeka.

Cathy jęcząc i stękając wiła się na podłodze. Betty pochylała się nad nią ze zgrozą w oczach. Usta miała szeroko otwarte i wydawała przeciągły przeraźliwy dźwięk. Przez chwilę staliśmy bez ruchu, lecz zaraz skoczyłam naprzód i przypadłam do Cathy. Serce podchodziło mi do gardła, a krzyk Betty odbierał mi niemal rozum.

Twarz Cathy wykrzywiona była bólem, wargi prawie białe.

- Trucizna - wystękała, po czym skuliła się z jękiem, który przeszedł w krzyk.

- Barry, lekarza - wydusił Steven. - Miriam, szklanek wody i dodaj dużo soli. Szybko! Tino, proszę mi pomóc położyć Cathy na łóżku.

Przenieśliśmy ostrożnie Cathy na posłanie, po czym Steven ostrym tonem zwrócił się do Betty.

- Co się stało?

- Weszłam, żeby zapytać, czy pani jeszcze czegoś potrzebuje. Powiedziała, że źle się czuje. Potem poszła do łazienki, a gdy wróciła, upadła nagle na podłogę i zaczęła krzyczeć.

Cathy jęknęła z udręką w głosie. Przybiegła Miriam z soloną wodą. Z trudem wialiśmy ją w Cathy, która broniła się gwałtownie.

Minęła chyba cała wieczność, kiedy wreszcie zjawił się doktor.

- Może chodzi tylko o wyjątkowo ciężki przypadek gorączki gastrycznej - zauważył.

- Trucizna - wyszeptała Cathy.

Inteligentne oczy lekarza wpatrywały się w jej wpadniętą twarz.

- Czy piła albo jadła pani coś, co pani zdaniem...

- Sok cytrynowy. - Cathy podniosła się gwałtownie, złapała za brzuch i jęknęła.

Lekarz wyprosił z pokoju wszystkich poza mną i Betty i zwrócił się do mnie.

- Proszę sprawdzić, czy jej szklanka została już umyta. Jeśli nie, proszę mi ją przynieść.

Kiedy weszłam do salonu, wszyscy podnieśli się.

- Czy ona... - zaczął Barry.

- Jej stan nie zmienił się - odparłam.

Szkło, jeszcze nie umyte, stało na barku. Szklanki Cathy i ciotki Polly były jednakowe, więc wzięłam obydwie. W tym momencie rozległ się dzwonek u drzwi, i do domu weszło dwóch policjantów oraz funkcjonariusz Squadra Mobile.

Obydwaj mundurowi stanęli przy drzwiach, jakby chcieli odciąć nam drogę ucieczki, a detektyw wszedł do pokoju i nie zważając na nas zatrzymał się przed Stevenem.

- Mam polecenie aresztować pana, signore Denison. Jest pan oskarżony o usiłowanie zabójstwa swojej żony, którą chciał pan pozbawić życia przy pomocy bomby. Zmuszony jestem prosić pana, żeby pan poszedł ze mną.

Jedna ze szklanek wypadła mi z ręki i potoczyła się po podłodze. Nie rozbiła się jednak - wypadła z niej tylko łyżeczka. Schyliłam się, żeby podnieść jedno i drugie, lecz podłoga nagle jakby się podniosła uprzedzając mój ruch. Zatoczyłam się do tyłu i oparłam o bar z trudem łapiąc oddech. Jak przez gęstą mgłę usłyszałam głos Stevena:

- Czy mogę wiedzieć, na czym opiera pan swoje twierdzenie?

- Aresztowaliśmy Guglielma, który złożył pełne zeznanie. Wiemy dokładnie, jak współpracowaliście ze sobą.

- Czy mogę usłyszeć, co zeznał Guglielmo?

- Powiedział nam, że wspomniał panu o swoich zdolnościach pirotechnicznych, które wykorzystywał w partyzantce produkując bomby, podkładane potem do skrzyń z prowiantem. Wiemy teraz, że zaproponował mu pan sfinansowanie budowy jego nowego domu, a poza tym całkiem przyzwoitą sumkę, jeśli zgodzi się dostarczyć panu taką bombę.

- A więc to Guglielmo - rzekł Barry. - Wiedziałem, że to kawał drania, ale żeby...

Detektyw przerwał mu i ciągnął dalej

- Guglielmo przysięga, że nie wiedział, do czego miała być użyta ta bomba. Zeznał, że choć w ostatniej chwili naszły go wątpliwości, to chęć posiadania nowego domu okazała się większa. Próbował więc pogodzić jedno z drugim: spokojne sumienie z pańskimi rozkazami. Zbudował bombę, ale umocowując wieczko celowo wkręcił śruby zbyt głęboko. Wybuch, jaki potem nastąpił, nie odniósł więc takiego skutku, jaki pan planował. W przeciwnym razie nikt w tym pomieszczeniu nie uszedłby z życiem.

W salonie panowała przygniatająca cisza.

- Musimy się już zbierać, signore.

Detektyw postąpił krok naprzód, lecz Steven cofnął się.

- Chwileczkę - zawołał. - Gotów jestem pójść z panem i odpowiedzieć na wszelkie pańskie pytania. Ale akurat teraz, kiedy moja żona może lada chwila umrzeć, nie mogę opuścić domu.

- Pańska żona umiera?

Detektyw spojrzał nań z niedowierzaniem, po czym poprosił o bliższe informacje. Dopiero wtedy wyjaśniło się, że Barry, idąc po lekarza, nie zawiadomił policji, i że ta wizyta nie ma nic wspólnego z wydarzeniami tego wieczoru. Miriam i Barry opisali w krótkich słowach, co wydarzyło się w ostatnich godzinach. Ładna twarz Włocha przybrała twarde, zimny wyraz, kiedy zwrócił się ponownie do Stevena.

- Teraz rozumiem, signore, dlaczego chce pan poczekać tutaj. Naturalnie jest pan zainteresowany, czy zostanie pan oskarżony o usiłowanie zabójstwa, czy o faktyczne zabójstwo.

Spojrzałam na szklanki, które trzymałam w ręku. Na dnie jednej z nich utworzył się biały osad.

- Z której szklanki piła pani Denison? - zwrócił się do mnie funkcjonariusz Squadra Mobile.

- Nie jestem pewna. - Mój głos zdawał się docierać z wielkiej oddali. - Lekarz chciał ją mieć. Muszę mu ją natychmiast zanieść.

Wziął z moich trzęsących się dłoni wysokie szklanki i zajrzał do środka.

- Dobrze, proszę mu je zanieść. Ale niech pani zaraz tu wróci na przesłuchanie.

Ruszyłam do drzwi, a przechodząc obok Stevena, zawahałam się chwilę i popatrzyłam mu w oczy. Jego twarz była twarda jak granit, ale nagle zmiękła. Lodowatymi palcami dotknął delikatnie mojego policzka.

- Biedna mała Tina. Jednak nie udało się pani wyjechać stąd w porę.

Wybiegłam z pokoju i popędziłam korytarzem. Lekarz, klęczący obok łóżka Cathy, powstrzymał mnie gestem. Cathy leżała nieruchomo na swym postaniu. Po chwili lekarz podszedł do mnie, by zbadać osad w szklankach.

- Przed siedmioma laty byłem świadkiem śmierci pewnego człowieka otrutego arsenikiem - rzekł z powagą. - Możliwe, że biała pozostałość na dnie szklanki to właśnie ta trucizna. Może dawka nie była niebezpieczna dla życia. Ten proszek na dnie może oznaczać, że tylko lekko zamieszała lemoniadę.

Zamknęłam oczy i wzdrygnęłam się. Przypomniałam sobie wyraźnie, jak Cathy pod zimnym spojrzeniem Stevena wciąż mieszała płyn w szklance.

- Zamieszała bardzo dokładnie - rzekłam w końcu cicho.

Twarz lekarza spoważniała jeszcze bardziej.

- Nic więcej nie mogę dla niej zrobić. Przewożenie jej do szpitala nie miałoby żadnego sensu, odległość jest zbyt duża.

- Wygląda na to, że czuje się trochę lepiej.

- Jeśli to faktycznie arszenik, to ataki występują spazmatycznie. Aktualnie czuje się dobrze i się nie rusza. Ale dalsze ataki są nieuniknione. Już następny może się okazać zgubny.

Przez jakiś czas patrzyliśmy sobie w oczy.

- Chciałabym zostać przy niej - powiedziałam w końcu. - Ale policja chce mówić ze mną i zadawać mi jakieś pytania.

- W takim razie musi pani iść. Do pani powrotu zostanę przy niej. Ale ani ja, ani ktokolwiek nie może jej już pomóc.

Nie wróciłam do salonu. Nagle poczułam, że jestem u kresu sił, że niczego więcej już nie zniosę. Musiałam być sama, przynajmniej przez parę minut. W swoim pokoju podeszłam do okna i patrzyłam w noc oświetloną światłem księżyca.

I wtedy ujrzałam jakąś znajomą postać zbiegającą po górskim stoku porośniętym wysoką trawą i gęstymi krzakami. Wydawało się, jakby przed czymś lub przed kimś uciekała. Biegła, jakby ścigał ją sam diabeł.

Rozdział dziesiąty

Przez chwilę stałam osłupiała. Potem jednak otworzyłam szerzej okno i wyskoczyłam na zewnątrz. Popędziłam w dół zbocza potykając się o grube korzenie drzew i przedzierając przez wysoką trawę, która sięgała mi do pasa. Dziewczyna, za którą biegłam, nagle się przewróciła, lecz zaraz zerwała się na nogi. Coś zabłysło w jej ręku, lecz nie udało mi się rozpoznać, co to takiego.

W każdym razie to była Betty! Pokojówka Cathy, Betty! Dlaczego pędziła jak szalona w dół zbocza?

Obejrzała się przez ramię i poznała mnie, a groźba dogonienia pobudziła ją do jeszcze szybszej ucieczki. Gałęzie podarły mi sukienkę i drapały nogi. Byłam już wystarczająco blisko, by rozpoznać przedmiot, który trzymała w ręku.

Zobaczyłam błysk kuchennego noża!

Na jego widok ogarnął mnie blady strach. Nie zwolniłam jednak biegu. Nie było innego wyjścia, nie mogłam zawrócić. Dogonię Betty i wycisnę z niej prawdę.

Dotarliśmy do podnóża góry. Ujrzałam ciemną postać pędzącą po mokrej kamienistej plaży w kierunku dalej położonych jaskiń. Zmusiłam się do jeszcze szybszego biegu. W jaskiniach mogła mi bez trudu uciec i gdzieś się ukryć. Potknęłam się i runęłam przed siebie. Po chwili podniosłam się zdyszana i wyczerpana. Zauważyłam jednak, że również Betty poślizgnęła się na śliskim kamieniu. Wykonałam potężny skok i byłam już całkiem blisko. Słyszałam wyraźnie jej ciężki oddech, a kiedy potykając się dotarła do najbardziej odległej jaskini, upiornie oświetlonej jasnym światłem księżyca, zobaczyłam, że ze zmęczenia porusza się z trudem.

- Proszę się zatrzymać, Betty! Stać, Betty! - rozkazałam.

Stać, Betty... Stać. Betty... Stać, Betty.

Echo mego zdyszanego głosu odbijało się szyderczo od zielonego wilgotnego sklepienia jaskini. Twarz Betty była trupio blada, jasnoniebieskie oczy szeroko otwarte ze strachu.

- Jeśli się pani zbliży, zabiję panią. Zatrzymałam się. Ostrze noża zaśniło srebrnym blaskiem.

- Chcę tylko z panią porozmawiać. - Zrobiłam przerwę, żeby uspokoić oddech. - Dlaczego przybiegła pani tutaj?

- Pani Denison umiera. Nie mogłam tam zostać i patrzeć, jak umiera. Chciałam się ukryć.

- Dlaczego wzięła pani nóż?

- Może po to, żeby się zabić. Żebym miała broń. gdyby policja chciała mnie schwytać. Nie wiem. Nie jestem pewna.

- Czy to pani ją otruła?

- Trucizna nie była przeznaczona dla niej, tylko dla starszej pani. - Nagle wybuchnęła szlochem.

Patrzyłam na nią z przerażeniem, moje ciało przeszył dreszcz.

- Dlaczego chciała pani zabić ciotkę Polly?

- Pomiałała mną jak śmieciem. Nazywała mnie głupią Betty. To podła starucha, która się nie myje.

- I z tego powodu chciała pani popełnić morderstwo?

- Zrobiłam to dla pani Denison. Tyle pieniędzy leżało bezużytecznie. Zwariowana starucha ciągle je liczyła.

- Pani Denison dostałaby swój udział we właściwym czasie.

- Nie - nie dostałaby. Chciała się przecież rozwieść z panem Denisonem i wyjść za tego Włocha. Tacy byli w sobie zakochani. Stara ma dziwne poglądy na temat rozwodów. Zawsze mówiła, że nie zostawiłaby ani grosza kobiecie, która się rozwiodła z mężem. I dlatego starą należało usunąć. Pani Denison chciała mieć i pieniądze, i signore Mazzaro. Ułożyliśmy plan, żeby ciotka Polly spłonęła żywcem, ale się nie udało.

Im dłużej jej słuchałam, tym większy ogarniał mnie gniew. Dziewczyna nie była szalona. Była mądra. Przerażająco mądra. Próbowwała zwalić całą winę na Cathy. Z niesamowitym trudem opanowałam się i nadałam swemu głosowi spokojne brzmienie.

Zapomina pani, Betty, że ja i wszyscy pozostali wiemy, że to Cathy uratowała ciotkę Polly z płomieni.

Twarz Betty pozostała całkowicie bez wyrazu. Ścisnęła mocniej nóż i patrzyła ponad moją głowę.

- Obydwie patrzyłyśmy, jak dom się pali. Sądziłyśmy, że wszystko poszło dobrze. Wtem przy oknie pojawiła się starsza dama.

- Cathy uratowała ją.

- Jest okropnie odważna. Kiedy wyglądało na to, że starej uda się ująć z życiem i opuścić dom, Cathy wbiegła do płonącego budynku, żeby dopilnować jej śmierci w płomieniach. Ale podążył za nią jakiś mężczyzna, i nie pozostało jej nic innego, tylko pomóc mu znieść ciotkę na dół.

- Jak pani śmie twierdzić coś takiego? Wiem już, kto posyłał Cathy te niktzemne listy. Wiem, kto ponosi winę za wszystko, co się stało. To pani, Betty. Pani! I powie mi pani też, dlaczego.

Betty była wyższa ode mnie, lecz nagle chwyciłam ją za ramiona i zaczęłam potrząsać. Nóż wypadł jej z ręki, i moje palce odnalazły go o sekundę szybciej. Groźnie zacisnęłam je na rękojeści broni, mimo że nie wiedziałabym, jak się nią posłużyć, nawet gdyby zależało od tego moje życie. Z bladoniebieskich oczu Betty wyglądała nienawiść i strach. Odetchnęłam głęboko.

- Powie mi pani, kto pisał te listy. Kto napadł na Cathy w hotelu? Kto majstrował przy łodzi, tak żeby zatoneła?

- To była pani Denison. Już pani przecież mówiłam, że jest mądra. Powiedziała, że musimy przekonać ludzi, że ktoś chce ją zabić. Wszyscy mieli w to uwierzyć - policja, pan Denison i goście w willi.

- Kłamie pani! Jaki miałyby motyw takiego postępowania?

- Stara miała umrzeć. Miała umrzeć po wypiciu soku cytrynowego z takiej samej szklanki jak pani Denison. Każdy musiałby przyjąć, że nastąpiła pomyłka, i wierzyć, że trucizna była przeznaczona dla niej. Dlatego była jedyną osobą poza wszelkim podejrzeniem.

Dziewczyna mówiła z taką prostotą i przekonaniem, że trudno było sobie wmówić, że kłamie.

- Zaraz mi pani jeszcze powie, że pani Denison zadbała także o to, żeby jej przysłano do domu bombę.

- Bomba wcale nie miała wybuchnąć. Nikt nie chciał wierzyć, że naprawdę dostawała te listy. Policja uważała, że zatonięcie łodzi nie miało nic wspólnego z zamachem na jej życie. Próbowala wszystkiego. Często skarżyła mi się, że jest w rozpacz. Właściciel garażu podsunął jej pewien pomysł. Ponieważ zna się na bombach, obiecał jej zbudować taką, która nie wybuchnie. Powiedział, że wystarczy mocno przykręcić wieczko, a wtedy nic jej nie grozi. Uwierzyła mu. Ten człowiek popełnił jednak błąd, i sprawa się nie powiodła. Pani Denison nie chciała, żeby ktoś był ranny. Jedynym jej życzeniem było przekonać wszystkich, że ktoś chce ją zabić.

- To nieprawda - zawołałam. - Żadna kobieta nie byłaby zdolna do czegoś takiego.

- Żadna oprócz pani Cathy. Mówiłam już pani, że jest odważna.

Betty z pewnością kłamała. Cathy uratowała mi przecież życie. Została moją przyjaciółką. Możliwe, że była niemoralna, może nawet nieuczciwa. Ale żeby morderczynią! W to nigdy nie uwierzę.

- A dziś wieczór, Betty - zaczęłam ostrożnie. - Jak to było dziś wieczór?

- Powiedziała, że to jej ostatnia szansa. Im więcej świadków, tym lepiej, wkrótce wszyscy wyjadą. Miała jeszcze arsenik, którym u ciotki Polly w Anglii zawsze truła szczury. Miałam dodać do soku ściśle określoną ilość trucizny i dopilnować, żeby zielona łyżeczka znalazła się w szklance starej. To był dla nas znak rozpoznawczy. Powtarzała mi to wielokrotnie.

Wpatrywałam się w nią, ale nie rozumiałam wszystkiego. W głowie mi się kręciło, w ustach zupełnie mi wyschło. To było kłamstwo. To po prostu nie mogła być prawda.

- Pani Cathy popełniła błąd. - Spazmatyczny szloch ogarnął ją znowu. - Musiała wziąć niewłaściwą szklankę, a teraz nie żyje.

Od strony wejścia rozległ się cichy szelest. Upuściłam nóż, a Betty przestała płakać. Zablysło coś białego - unosząca się w powietrzu postać w falującej, szeleszczącej szacie. Zjawa zbliżała się coraz bardziej. Wstrzymałam oddech, serce waliło mi w piersi.

Kiedy w chwili później zobaczyłam twarz, mimo woli otworzyłam usta. Chciałam krzyknąć, lecz nie wydobyłam z siebie żadnego dźwięku. Przygniatającą ciszę przerwał wreszcie przeraźliwy krzyk Betty, który odbił się echem od ścian jaskini.

Przed nami stała Cathy. Jej biały negliż wisiał w strzępach, a ona sama ledwo trzymała się na nogach. Twarz miała równie białą jak szatę, oczy ciemne i wpadnięte. W ręku trzymała mały rewolwer.

Krzyk Betty wibrował jeszcze w pomieszczeniu, gdy Cathy zaczęła mówić. Mówiła tak cicho, że musiałam wyteżać słuch, żeby zrozumieć jej słowa.

- Nie, Betty, nie umarłam. I nie popełniłam żadnego błędu. Mówiłam ci, żebyś się upewniła, czy zielona łyżeczka znalazła się w szklance ciotki Polly. Powtarzałam ci to nieskończoną ilość razy.

- Nic się pani nie stało! - W jasnym świetle księżycy dostrzegłam w twarzy Betty niedowierzanie i ulgę. - Lekarz powiedział, że musi pani umrzeć. Ja też chciałam umrzeć. Och, pani Denison, nie mogę uwierzyć, że naprawdę stoi pani przede mną. Że pani nie umrze.

- Nie zamierzam - odparła Cathy. - Przez jakiś czas uważałam to za prawdopodobne, ale już mi przeszło. Następnym razem nie będę się

posługiwać ograniczonymi Włochami i głupimi pokojówkami. Dziś wieczór przeszłam piekło. Każdy z was by umarł, gdyby przeżył to co ja. A wszystko przez zwariowaną dziewczynę, głupią Betty.

- Nigdy dotąd nie nazywała mnie pani w ten sposób - wyszeptała Betty z niedowierzaniem i bólem. Am razu przez tyle lat.

- Ale wystarczająco często nazywałam cię tak w myśli, możesz mi wierzyć.

Do tej pory nie ruszałam się, ledwo nawet oddychałam, lecz teraz wystąpiłam naprzód. W tej samej chwili zobaczyłam wycelowany we mnie pistolet i twarz Cathy blisko mojej twarzy.

- Jaka szkoda, Tino, że popędziłaś za Betty aż tutaj - rzekła łagodnie. - Zawsze cię lubiłam. Specjalnie wyszukałam kogoś takiego jak ty. Miałaś być moim świadkiem koronnym, gdyby coś poszło nie tak. Tak gruntownie cię urobiłam. Tylu miałam tutaj wrogów. Po prostu potrzebowałam kogoś, kto głośno i wyraźnie opowie się po mojej stronie, kto będzie wierzył we mnie i okaże się osobą godną zaufania. Kogoś, kto zrobi na wszystkich bardzo dobre wrażenie.

Zamknęłam oczy. Pamiętam, że pomyślałam, że to nie może być prawda, że muszę przeżywać jakiś straszny koszmar senny.

- Jak się tutaj dostałaś? - spytałam w końcu.

- Zobaczyłam cię przez okno. a potem pokonałam tę samą trasę co ty, tyle że potrzebowałam na nią więcej czasu. Już myślałam, że nie dam rady. Po tym numerze, który wycięła mi głupia Betty, goniłam resztkami sił.

Z gardła Betty wyrwał się dziwny zduszony dźwięk. Patrząc nieruchomo na Cathy zaczęła się do niej zbliżać.

- Dlaczego nazywa mnie pani ciągle tym okropnym imieniem?

Cathy podniosła broń i zwróciła w jej kierunku.

- Ani kroku bliżej - powiedziała groźnie cichym głosem.

- Dlaczego nazywa mnie pani głupią...

Trzask wystrzału wyrwał jej z ust ostatnie słowo. Betty zrobiła jeszcze krok, a w następnej chwili runęła na zimną mokrą skałę.

- Nie dotykaj jej - rozkazała Cathy. Zignorowałam ten rozkaz, pochyliłam się nad dziewczyną i obróciłam ją łagodnie na plecy. Długo wpatrywałam się w nią, aż w końcu nic nie widziałam przez łzy. Po raz pierwszy w życiu oglądałam trupa. Powoli podniosłam się i zwróciłam do Cathy.

- Ona cię kochała. Kochała cię tak bardzo, że dla ciebie gotowa była zabić.

- Nie potrzebuję już głupiej Betty. Przykro mi, naprawdę przykro mi, Tino, ale nie potrzebuję już także ciebie.

Uniosła rewolwer i wymierzyła go we mnie. Patrzyłyśmy sobie w oczy, morderczynie i ja, zamknięte w milczeniu leżącej na uboczu jaskini. Cathy uśmiechnęła się, wyczytałam w jej twarzy coś w rodzaju współczucia. Zrozumiałam, co chciała w ten sposób powiedzieć. Lubiła mnie, ale teraz mnie zabije. Było jej przykro, ale musiałam umrzeć. Koniecznie musiałam grać na zwłokę. Na pewno zaczęto nas już szukać. Policja weźmie udział w poszukiwaniach. A także Steven. Wzięłam głęboki oddech i zaczęłam mówić.

- Wiem teraz, że nigdy nie dostawałaś listów z pogroźkami ani nikt nie napadł na ciebie w hotelu. Dalej jednak nie rozumiem, co stało się wtedy z łodzią.

- Guglielmo wywiercił w niej dziurki i zatkał je gumowymi korkami, które wyciągnęłam bez trudu we właściwym momencie, lecz ty niczego nie zauważyłaś. Jak widzisz, to było całkiem proste.

- Ale dlaczego? Dlaczego chciałaś mnie utopić?

- Żeby mieć okazję cię uratować i w ten sposób zapewnić sobie twoją dozoną wdzięczność - a poza tym, żeby przekonać innych, że znów dokonano zamachu na moje życie. Ale tobie ani przez chwilę nie groziło utonięcie. Ze swojego miejsca widziałam zbliżających się rybaków, którzy na pewno dopłynęliby do nas w porę.

Kiedy podeszła do ściany jaskini i zmęczona oparła się o nią, poczułam nieokreśloną nadzieję. Zrobiłam ostrożny krok, lecz natychmiast wyprostowała się i wycelowała broń w moją głowę.

- Mam jeszcze dość siły, żeby nacisnąć spust - powiedziała. - Szkoda, że wszystko tak wyszło. Nigdy nie miałam tego w planie. To był dobry plan, ale nic się nie układało po mojej myśli. Nikt nie chciał mi wierzyć. W hotelu omal nie udusiłam się własną pętlą, i policja uznała, że to tylko trik reklamowy. Najlepsze jeszcze było to, że bomba jednak wybuchła. Żał mi Marca. Nienawidzę wszystkiego, co brzydkie. Ale z czasem i o nim zapomnę.

Rzuciłam okiem w kierunku wyjścia. Nikt nie nadchodził. Kiedy Cathy nagle podeszła do mnie, omal nie wpadłam w histerię. Zapomniałam, że powinnam zachować ostrożność i spokój.

- Dlaczego ukryłaś klucze w szafie Stevena? - spytałam piskliwym głosem. - Czy nie dość się już nacierpiał bez twojego udziału? Dlaczego Guglielmo obciążył Stevena?

- Dokładnie poinstruowałam Guglielma, co ma mówić, gdyby został arestowany - odparła pustym, znużonym głosem jak kobieta ciężko chora. - Bez względu na to, czy oskarży mnie. czy Stevena. jego kara będzie taka sama. Ja jednak obiecałam mu, że zadbam o jego dzieci i zapłacę mu, jeśli nie wpłacze mnie w tę historię.

- Jak mogłaś to zrobić Stevenowi, ojcu dziecka w twoim łonie?

Roześmiała się - szczerze i z rozbawieniem. - Nie wierzyłaś chyba, Tino, że jestem w ciąży! Dwudziestoczworgodzinny rozejm ze Stevenem był częścią mojego planu. Musiałam go zmusić do przyjęcia mnie, żeby ciotka Polly nie zauważyła, że nasze małżeństwo już nie istnieje. Kiedy powiedziałam mu, że spodziewam się dziecka, uwierzył mi. Przynajmniej na początku. Potem naszły go pewnie wątpliwości. - Nieoczekiwanie przyskoczyła do mnie i przyłożyła mi rewolwer do skroni. - Gadamy już za długo. Ostatnimi czasy tak się przyzwyczaiłam do zwierzeń przed tobą, że i teraz nie ugryzłam się w język. Bardzo mi przykro, Tino, prawdziwie i szczerze. Chciałabyś się jeszcze pomodlić czy coś w tym rodzaju?

Modliłam się już od pięciu minut, lecz nagle mogłam myśleć tylko o Stevenie. Stevenie, którego już nie zobaczę.

- Powiedz mi jeszcze tylko jedno, Cathy. Co będzie ze Stevenem?

- Zeznam przed policją, że od dawna podejrzewałam go o konszachty z Betty. A co z nim będzie, nie mogę ci powiedzieć.

- I jest ci to zupełnie obojętne!

- Oczywiście! Nie kocham go tak, jak ty go kochasz, Tino. Bo kochasz go, prawda?

- Tak, kocham go.

Jaki sens miałyby kłamstwo w ostatnich minutach życia? Od jak dawna wiedziałam już o tym? Wiedziałam tylko, że kocham go z całego serca. I że jest już za późno. Zawsze było za późno.

Już zamierzałam zamknąć oczy, gdy popatrzyłam ponad ramieniem Cathy i wstrzymałam oddech. Wejście do jaskini zdawało się chwiać i kręcić, rozmazane w dziwnej wielobarwnej mgle. A na skraju tej mgły ujrzałam zarysy mężczyzny. Moje nagłe drgnięcie musiało zwrócić uwagę Cathy, gdyż obróciła się i wydała stłumiony okrzyk, kiedy i ona go odkryła. Zbliżał się do nas z oczyma utkwionymi w jej twarz.

- Ona ma rewolwer, Steven. Na miłość boską - niech pan ucieka!

- Raz już z niego wystrzeliłam - rzekła Cathy dziwnie wysokim głosem. - Ostrzegam cię, jeśli zrobisz krok, zastrzelę cię.

W mojej głowie zapanowała bezsensowna i daremna gonitwa myśli. Stałam nieruchomo i czekałam na śmierć Stevena.

Nagle skoczyłam do przodu, niemal w tej samej chwili, kiedy również Steven spróbował zaskoczyć Cathy i krzyknął do mnie, bym zeszła z linii strzału. Coś przeleciało obok mojej głowy, a huk wystrzału rozdarł ciszę.

Kucałam rozdygotana przy wejściu do jaskini. Cathy, skulona, chwiejąc się, strzelała w dzikiej rozpacz na wszystkie strony. Kule odbijały się od skalnych ścian. Potem wszelkie odgłosy z wolna ucichły. Steven i Cathy leżeli na ziemi.

- Steven! Steven, co ci jest? - nie wytrzymałam w końcu.

W otaczającym mnie chaosie rozległ się donośnie i czysto jego głos. Uszczęśliwiona zdałam sobie sprawę, że to nie on tak stęka. Klęczał obok białej, dygoczącej postaci.

- Nic mi nie jest, Tino. Cathy złapał atak, przepowiadany zresztą przez lekarza. Bogu dzięki, nastąpił we właściwej chwili.

Cathy zwijała się na mokrej ziemi, a skalne ściany odbijały szyderczo jej przeraźliwe wrzaski.

- Lekarz musi być gdzieś w pobliżu. Wyjdźmy z tego grobu - zawołał do mnie Steven.

- Betty leży tam pod ścianą - wykrztusiłam. - Ale nie możemy już nic dla niej zrobić. Nie żyje.

Kilku mężczyzn z ekipy poszukiwawczej dotarło już do otworu jaskini, lecz cofnęło się na widok Stevena, który wyniósłszy na rękach martwą Cathy, położył ją na suchej płaskiej powierzchni.

- Również dla Cathy nie możemy już nic zrobić - rzekł cicho.

Rozdział jedenasty

Steven pomagał mi podczas wspinaczki pod górę. Przedstawiłam mu dość chaotyczną relację z wydarzeń, po czym przez jakiś czas szliśmy bez słowa. W końcu Steven rzekł bezdźwięcznym, spokojnym głosem

- Doktor zostawił Cathy na chwilę samą, żeby porozumieć się z policjantami. Kiedy nagle zniknęła, nikt nie sądził, że ma dość siły, by opuścić willę. Dużo czasu zmarnowano na poszukiwania na górze. Potem odkryliśmy ślady na ścieżce, lecz wszyscy uważali, że nie mogą pochodzić od Cathy. Aleja znałam ją lepiej. Znałam jej siłę i twardą naturę. Betty zniknęła, ty również. Odchodziłem niemal od zmysłów. Byłem przekonany, że zeszłaś na plażę, a ona, sam nie wiem jak, za tobą. Inna kobieta nie byłaby do tego zdolna. Cathy przez całe życie starała się pokonać barierę niemożliwości. Dziś wieczór niemal dopięła swego.

- Dalej nie mogę w to uwierzyć - szepnęłam. Przeraziłam się na myśl o imponującej grze aktorskiej

Cathy w minionych dniach i tygodniach. Na pewno dużo łatwiej byłoby jej otruć biedną starą ciotkę potajemnie i ufać, że nikt tego nie odkryje. Steven zastanowił się chwilę, po czym rzekł:

- Cathy nigdy nie szła na łatwiznę. Tylko brawurowy plan mógł ją pociągać. Ostatecznie próbowała już bez rezultatu prostej metody, jaką jest pożar. Gdyby starsza dama została zamordowana, Cathy byłaby pierwszą podejrzaną. Zyskiwała dwa razy tyle co Barry, który po śmierci i odziedziczeniu majątku swojej matki nie miał powodu, by zabijać kogokolwiek dla pieniędzy. Mógł poczekać.

- Mimo to można go było ubrać w usiłowanie zabójstwa Cathy. W takim wypadku miał przekonujący motyw.

- Wszyscy moglibyśmy mieć motyw, żeby ją zabić - Barry, Herder, Francesca, ja sam, a nawet Miriam. I Cathy o tym wiedziała. Na tym opierała cały swój plan. Guglielmo i Betty byli słabymi ogniwami w jej łańcuchu. Bez nich może by się jej udało.

- Musiała być szalona.

Miałam nadzieję, że Steven potwierdzi, iż była umysłowo chora. Nie wierzyłam, że kobieta może być taka zła.

- Cathy nie była wariatką. Może i była trochę obciążona dziedzicznie, ale w normie. Zawsze dobrze wiedziała, co robi, i nic nie mogło jej stanąć na przeszkodzie. Była bezwzględna, odważna i nie znała miłosierdzia.

Otoczył mnie ramieniem i przycisnął do siebie. Było mi zimno i miałam dreszcze.

Bezwzględna, odważna i bez miłosierdzia - epitafium kobiety.

Nie zdawałam sobie sprawy, że płacę, dopóki nie poczułam na wargach słonego smaku swoich łez. Opłakiwałam kobietę, której nigdy nie znałam, Cathy, która nigdy nie istniała naprawdę.

- Ile z tego wszystkiego wiedziałeś lub przynajmniej przeczuwałeś? - zapytałam Stevena.

Pojawiła się jasno oświetlona willa, kiedy pokonywaliśmy ostatnie metry, jego uścisk stał się mocniejszy.

- Niczego nie wiedziałem. Domyślałem się trochę, ale po wypadku z bombą moje przypuszczenia wzięły w łeb. Czułem, że to jeszcze nie koniec, i zależało mi tylko na tym, żeby ochronić ciebie.

Opuściłam Bartesę dopiero w trzy dni później. Ciotka Polly, Miriam i Barry już wyjechali, lecz gdy zjawił się mój brat, udało mi się go przekonać, by został nieco dłużej. Miałam nadzieję i pragnęłam usłyszeć od Stevena, że nie muszę się już z nim rozstawać. Nie dokończył przecież swoich prac, może więc pozwoli mi, żebym mu pomogła.

Nadszedł dzień naszego wyjazdu. Steven był dla mnie miły i uprzejmy, lecz nie poprosił mnie, bym została. Kiedy zbliżała się już godzina pożegnania, z wahaniem weszłam do jego gabinetu.

Stał przy stole i patrzył na leżący na nim mój portret. Odwrócił się, kiedy mnie usłyszał.

- Naprawdę bardzo udany, Tino. To najlepszy obraz, jaki Herdę" kiedykolwiek namalował. Wiedziałem, że twoje tycjanovskie włosy będą dla niego bodźcem do stworzenia arcydzieła. Przeszedł samego siebie. - Wziął dużą białą chustę i owinał nią płótno oraz lekką drewnianą ramę. - Musisz wziąć ten obraz do domu i podarować go rodzicom. Będą zachwyceni.

Poczułam łzy w gardle i odwróciłam twarz.

- Od razu powiedziałam Nickowi, że nie będziesz zainteresowany.

- Rzeczywiście, Tino, nie jestem zainteresowany. Nie chcę mieć tego obrazu.

Milczałam. Nie było sensu się obrażać. Dlaczego Steven Denison miałby chcieć zatrzymać mój portret, nawet jeśli wspólne niebezpieczeństwa zbliżyły nas do siebie i zostaliśmy przyjaciółmi? Był to ostatecznie tylko portret dziewczyny, która na krótko pojawiła się w jego życiu, i którą on, nie namyślając się długo, na powrót z niego wypędził.

- To bardzo uprzejme z twojej strony, że zaoferowałaś się odwiedzić nas na lotnisko. Barry zaczyna się z wolna niepokoić. Uważa, że pora wyruszyć.

Steven spojrzał na mnie, a ja odwzajemniłam jego spojrzenie. Chciałam zapamiętać każdy rys jego twarzy, srebrne nitki, które pokazywały się na skroniach. Szare oczy, które patrzyły na mnie teraz w taki sposób, że zadrżałam. I jego usta, które zawsze zdradzały drażące go cierpienie. I wargi, które zbliżały się do moich warg.

- Lotniska to straszne miejsca na pożegnania - rzekł cicho.

To był długi, bardzo długi pocałunek. Wcale nie pożegnalny. Mężczyzna, który w ten sposób całuje kobietę, nie żegna się z nią. To był pocałunek oznaczający początek, a nie koniec. Jego wargi dotykały moich włosów, oczu, szyi. Nagle wypuścił mnie. Otoczył dłońmi moją twarz. Zapłonełam rumieńcem odczytawszy to, co mówiły jego oczy.

- Nie chcę twojego obrazu, Tino. Najlepszy obraz jest tylko niedoskonałą kopią kobiety. A ja nie chcę kopii, chcę samej kobiety. Na pewno czułaś to już od dawna. Pragnę tylko ciebie.

Opuści! ręce, odwrócił się i zaczął z powrotem pakować portret. Kiedy mówił dalej, jego głos brzmiał żywo i bezosobowo.

- Przez najbliższy miesiąc, a może nawet trochę dłużej, będę pracował jak szalony nad swoją książką. Potem cię zabiorę. Z twoim bratem rozumiem się bardzo dobrze. Mam nadzieję, że podobnie będzie z pozostałymi członkami rodziny. Czy pastorom wolno dawać ślub własnym córkom?

W oczach miałam łzy, lecz w gardle wzbierał śmiech. Bezradnie patrzyłam na mężczyznę, którego musiałam kochać, czy tego chciałam, czy nie. Nie miałam wyboru. Był arogancki, niezdolny i po prostu cudowny.

- Nie spytałaś mnie nawet, czy cię kocham. Wiem, że w oczach większości kobiet uchodzisz za przystojniaka, któremu nie można się oprzeć, ale czy nigdy nie przyszło ci na myśl, że mogę być wyjątkiem?

- Owszem, parę razy. W ostatnich tygodniach zachowywałem się okropnie. Jak mogłem mieć nadzieję, że kiedyś moje marzenia staną się rzeczywistością? Lecz potem usłyszałem w jaskini słowa, które wypowiedziałaś do Cathy. Mimo wszystko powiedziałaś jej, że mnie kochasz! W takiej chwili wdarłbym się nawet do klatki lwa. Gdyby Cathy celowała lepiej, umarłbym przynajmniej w szczytowym momencie mego życia, w jego najszcześniejszej godzinie.

Długo nie mogłam znaleźć stosownych słów, a potem, pewnie dlatego, że byłam tak głęboko wzruszona, spróbowałam zażartować.

- Jakie to piękne być żoną mężczyzny, który składa takie poetyckie wyznania!

- Obawiam się, kochanie, że nie mogę szafować poetyckimi wyznaniem. Będiesz żoną pisarza, z którego natchnienia powinny czerpać przede wszystkim postaci z jego książek.

- Dopóki nie zapomnisz, i to regularnie, mówić Kocham cię, będę zadowolona. W każdym razie do tej pory jeszcze tego nie zrobiłeś - a uważam, że wypadałoby. Jedynie dla protokołu. Tak to już jest przyjęte.

Steven wziął mnie znowu w ramiona, a ja wydałam głębokie westchnienie szczęścia.

- A więc zrobię to - powiedział. - Naturalnie tylko dlatego, że tak to już jest przyjęte.

I tak też, skoro tak to już było przyjęte, w końcu uczynił.